

Wilhelm Ferguson de Tepper

Pamiętniki Wilhelma Fergusona de Tepper : spisane jego ręką, 1810 : księga I

Almanach Muzealny 7, 33-64

2013

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

PAMIĘTNIKI WILHELMA FERGUSONA DE TEPPER¹ SPISANE JEGO RĘKĄ, 1810

Księga I

Rozdział I

Urodziłem się 18 grudnia 1768 roku w Warszawie, podobnie jak mój ojciec², którego historii nigdy nie poznałem. Wiem jednak, że był synem Szkota. O jego pochodzeniu zdołałem dowiedzieć się tylko tyle, że prawdziwe jego nazwisko brzmiało Ferguson³ i że wywodził się z tego niezwykle znanego w Szkocji rodu⁴. Natomiast zupełnie nic mi nie wiadomo o okolicznościach i pobudkach, które zdecydowały o osiedleniu się w Polsce mego dziadka ze strony ojca, podobnie jak nieznane są mi przyczyny braku jakichkolwiek śladów po nim. Wiem jedynie, że nazywał się Ferguson, a potwierdza to fakt, że w trakcie podróży mego ojca do Anglii w 1777⁵ roku król Wielkiej Brytanii rozkazał wydać mu metrykę szkockiego szlachectwa. Dokument ten⁶, do dziś znajdujący się w rękach mego starszego brata, podpisany został przez króla i licznych urzędników oraz opatrzony herbami Fergusonów, do których Jego Wysokość, nadając ojcu tytuł szlachecki (*esquire*), raczyła dodać stary herb składający się z pierścienia otoczonego trzema łbami dzików⁷.

1 Takiej wersji nazwiska użył autor na karcie tytułowej pamiętników, oryginał: Archiwum Rodzinne, Francja, il. MHW. W tym miejscu pragnę serdecznie podziękować wszystkim osobom, dzięki którym możliwe stało się opublikowanie *Pamiętników*, a zwłaszcza spadkobiercom za zgodę na ich nieodpłatny druk udzieloną dzięki pośrednictwu O. Baird.

2 Piotr Fergus(son) urodził się w Poznaniu.

3 J. Ferguson, R. Menzies Fergusson, *Records of the clan and name of Fergusson, Ferguson and Fergus*, Edinburgh 1895.

4 Dopisek inną ręką w formie przypisu w oryginale: „Niewiedza Wilhelma o historii rodziny wiąże się zapewne z tym, że w bardzo młodym wieku został oddzielony od najbliższych, najpierw wysłany do Stuttgartu, a później do Strasburga”.

5 Potwierdzenie szlachectwa wystawione zostało przez kancelarię Jerzego III dn. 11 VI 1779. Piotr Ferguson-Tepper odwiedził Szkoję w sierpniu 1780 – por. *Tepperowie-Fergusonowie o sobie*, s. 7.

6 Dopisek inną ręką w formie przypisu na oryginale „Błąd i niedorzeczność. Dokument ten był zezwoleniem na połączenie herbów Fergusonów i Tepperów”.

7 Zastanawiające, że autor nie pamiętał, jak wyglądał herb, mimo że użyty został jako wzór do ekslibrisu jego biblioteki; por. W. Wittyg, *Ex-librisy Bibliotek Polskich XVII i XVIII wieku*, Warszawa 1903, s. 72 – <http://kpbk.ukw.edu.pl/dlibra/plain-content?id=11822>; herb Tepper-Ferguson składał się z czterech pól: pola 1 i 4 były przypisane nazwisku Tepper (na srebrnym tle wspinający się lew z maczugą z sześcioma wyrostkami barwy lazuruwej), a 2 i 3 przypisane nazwisku Ferguson (na lazuruwym tle srebrny pierścień między trzema łbami dzików); por. AGAD, KK 100, s. 33–37 (11 XII 1790), MK 404, s. 112–115, Zbiór dok. perg. 2145, Wywód szlachectwa rodziny Fergusonów (17 VII 1786) – <http://www.agad.archiwa.gov.pl/kronika/dni2003/katalog.html>.

Zdumiewać może, że żadne z nas – ani moi bracia, ani siostry – nigdy nie zapytaliśmy ojca o historię jego pochodzenia, choć z pewnością mógłby zaspokoić naszą ciekawość. Wydaje się, że codzienne widywanie go, mieszkanie z nim pod jednym dachem oraz przekonanie, że może i powinien jeszcze długo żyć, sprawiły, iż odkładaliśmy rozmowę na ten temat. Gdyby tylko któreś z nas podejrzewało, że stracimy go tak niespodziewanie, nie odszedłby, nie opowiedziawszy swym dzieciom szczegółów, które z pewnością by je zainteresowały i których nieznanostwo mogła rzucać na niego niesprawiedliwe i krzywdzące podejrzenia.

W każdym razie, choć przyznając się do niewiedzy na ten temat, utrzymuję, że ojciec był – bez najmniejszych wątpliwości – najuczciwszym i najbardziej prawym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek poznałem, a moje pamiętniki są świadectwem tego, jak dobrym był rodzicem. Matka ojca, z domu Tepper, była siostrą Piotra Teppera⁸ – twórcy słynnego domu handlowego, tak długo cieszącego się sławą i renomą, jednego z pierwszych w Europie. Stryjeczny dziadek, jako bezdzietny wdowiec⁹, postanowił zaadoptować mego ojca, nadał mu swoje nazwisko i jeszcze za życia przekazał majątek oraz zarządzanie interesami, sobie zapewniwszy dożywotnią rentę¹⁰. Od najwcześniejszego dzieciństwa przyzwyczajony byłem więc uważać tego starca¹¹, którego mój ojciec traktował z największym szacunkiem, za swego dziadka – i tak też go nazywałem. Nigdy przed osiągnięciem dojrzałego wieku nie zastanawiałem się zbyt wiele nad pochodzeniem ojca, a gdy dorosłem, zacząłem co prawda rozmyślać na ten temat i interesować się nim, przemyślenia te nie miały jednak na mnie większego wpływu i szybko gasły w rozrywkach, do których przyzwyczało mnie ogromne bogactwo.

Jestem szóstym dzieckiem i trzecim chłopcem spośród 14¹² potomków Piotra Fergusona-Teppera i Filipiny Valentin¹³. Matka moja także urodziła się w Warszawie a wywodziła się z rodu, który zbiegł z Francji po odwołaniu edyktu nantejskiego¹⁴. [*W mej osobie zawierała się szczególna mieszanina narodów.

8 Katarzyna Concordia, córka Piotra Teppera (kuśnierza) i Katarzyny Polcynówny; por. M. Wicherkiewiczowa, *Z dziejów poznańskiego patrycjatu*, Biblioteka Warszawska, 1913 (4), s. 495.

9 Żona Piotra Teppera, Elżbieta z d. Sauter (1700–1766) była córką kupca wrocławskiego; por. W. Kornatowski, *Kryzys bankowy w Polsce w 1793*, Warszawa 1937, s. 13.

10 Tepper adoptował Piotra Fergusona 10 VI 1767 roku; AGAD, MK 234, s. 320; J. Ferguson, R. Menzies Fergusson, *Records of the clan and name of Ferguson...*, s. 487; W. Kornatowski, *Kryzys bankowy...*, s. 16.

11 Piotr Tepper ur. 11 X 1702 w Poznaniu; por. list P. Fergusona-Teppera, w: J. Ferguson, R. Menzies Fergusson, *Clan...*, s. 486; zm. V 1790 w Warszawie; K. Estreicher, *Bibliografia polska*, tom 31, Kraków 1899, s. 99; Bey der Urne des Ehrwürdigen Greises des Kaufmanns Peter Teppers in Warschau den 8-ten May 1790. Warschau gedruckt bey Michael Gröll.

12 Ludwik Wilhelm konsekwentnie pisze, że w rodzinie było 14 dzieci. Jedno przypuszczalnie urodziło się martwe, ponadto trójka zmarła we wczesnym dzieciństwie.

13 Marie-Philippine Valentin de Hauterive (1739 – zm. 16 IX 1792) zawarła z Piotrem Fergusonem związek małżeński 29 VI 1761.

14 Edykt nantejski został odwołany w 1685 roku.

Mój ojciec był Szkotem, matka Francuzką, dziadek adopcyjny, który przekazał nam nazwisko Tepper, był z pochodzenia Szwedem¹⁵, a ja byłem Polakiem, przynajmniej z urodzenia.]

Od kołyski chowano mnie – podobnie jak moje rodzeństwo – nie jako syna człowieka zamożnego, ale, rzecz można, niczym księcia i szybko przyzwyczaiłem się do pochlebstw, zewsząd słyszałem bowiem o fortunie, którą pewnego dnia odziedziczę. Od dzieciństwa wzrastałem więc w przeświadczeniu o niezawodnie czekających na mnie bogactwach i wcześniej wbiłem się w pychę sprawiającą, że z pogardą patrzyłem na każdego, kto był mniej zamożny lub znaczący. Porównanie zaś z innymi dziećmi w moim wieku – których stroje nie mogły równać się z moimi, które nie miały guwernera i korepetytorów, lecz chodziły do szkoły; których rodzice mieszkali w skromnych domostwach, podczas gdy nasz dom był prawdziwym pałacem; które chodziły pieszo lub jeździły prostymi powozami, tak różnymi od naszych i które jedynie z rzadka bywały w teatrze, kiedy my mieliśmy łożę wykupioną na rok – porównanie to, twierdzę, jedynie podsycalo moją pychę. [...] Ziarno owej słałości charakteru umacniał we mnie, bardziej niż w moim rodzeństwie, niezwykle talent do gry na klawesynie, który objawił się, kiedy miałem dziewięć lat, sprawił, że stałem się ulubieńcem naszego ojca, namiętnego miłośnika muzyki.

Ojciec nasz zbyt [..] wyróżniał [mnie] częstymi pochwałami, podarkami pieniężnymi i innymi względami, które nie tylko mieszały mi w głowie, lecz także budziły zazdrość rodzeństwa i wywoływały kłótnie między rodzicami, co ostatecznie pozbaawiło mnie czułości matki. Wszystko zresztą zdawało się sprzyiegać, aby umocnić we mnie to śmiechu warte zarozumialstwo: pojętność, która pozwalała mi, choć byłem najmłodszy, uczyć się szybciej niż moim braciom (mówiąc o braciach, mam na myśli jedynie dwóch najstarszych, pozostali jeszcze się nie urodzili lub byli zbyt mali, aby pobierać nauki), oraz pilność i postępy w nauce – które ja uważałem za ogromne, mimo że w istocie były tylko paplaniną i ciekawstwem – kazały mi wierzyć w moje cudowne zdolności i wraz z talentem muzycznym tylko zwiększały zaufanie i wzmacniały uczucia ojca.

[..] Mój talent muzyczny sprawił, że w domu naszym często organizowano koncerty, dzięki którym moja starsza siostra – doskonale grająca na klawesynie – a później ja, zyskaliśmy sławę w całej W. [arszawie].

15 Informacja co do pochodzenia dziadka jest niepewna. Ród kuśnierzy Tepperów, w których imię Piotr przechodziło z ojca na syna, występował w aktach miejskich Poznania przynajmniej od połowy XVII wieku. W 1657 roku jeden z nich był właścicielem kamienicy w III kwaterze poznańskiego rynku; por. M. Wicherkiewiczowa, *Z dziejów poznańskiego...*, s. 493.

Pysze mej pochlebiało, że budziłem większe uznanie niż siostra, która była ode mnie pięć lat starsza. Ojciec za każdym razem zachęcał mnie srebrnymi monetami do rozwijania talentu, tymczasem siostra nigdy niczego nie dostawała. [...] Kiedy nie miałem ochoty uczyć się, udawałem chorobę. [...] Rodzeństwo i nauczyciele oczywiście nie dawali się nabrać, bali się jednak ojca, a ja mogłem bezkarnie igrać z nim i ze wszystkimi, którzy mieli nade mną władzę.

Nie odczuwałem żadnej radości, gdy przychodziły do nas dzieci w moim wieku. Jedynym moim zajęciem podczas tych wizyt było płatanie psikusów, bicie rówieśników i okazywanie na tysiące sposobów mej wyższości. Każde inne dziecko zostałoby surowo ukarane, ale syn bogatego Teppera robił to, co mu się podobało. [...] Rodzice dręczonych dzieci zaś w większym lub mniejszym stopniu potrzebowali względów mojego ojca i najprawdopodobniej zadowalali się postanowieniem, że więcej nie przyprowadzą do nas swoich pociech. Ktoś taki jak ja – rzecz oczywista – nie był lubiany. [...] Nikt nigdy nie wskazał mi moich wad: ojciec był zbyt zaślepiony, matka uważała mnie za straconego, dla guwernera bywałem miły i umiałem mu schlebiać, sam natomiast odczuwałem pewien rodzaj wrogości wobec tych, którzy – moim zdaniem – nie umieli sprawiedliwie ocenić moich zalet. Losu tego uniknęli jedynie starszy brat Piotr¹⁶ i druga siostra, Karolina¹⁷. Dzięki swej ugodowości i łagodności charakteru cieszyli się najserdeczniejszymi uczuciami całej rodziny i innych osób. Ja również nie mogłem ich nie kochać, co więcej, przywiązałem się do nich; byli dla mnie oparciem w chwilach smutku.

[...] Uczucie przyjaźni do brata nie opuściło mnie przez całe życie, a dziś, kiedy czas i nieszczęścia całkowicie zmieniły mój charakter, przyznaję szczerze, że Piotr jest wart – i zawsze był – znacznie więcej ode mnie oraz że bez niego zapewne jeszcze dłużej zachowałbym cechy, którym pozwolono zawładnąć mym sercem i które mogły doprowadzić do mego całkowitego zepsucia. Piotr odwzajemnił moją przyjaźń z największą czułością i mogę zapewnić, że był – i nadal jest – człowiekiem, którego w całym życiu najbardziej kochałem.

Mimo że uległość nie należała do cech mego charakteru, była jednak w rodzinie jedną osobą, której się obawiałem, a nawet odczuwałem przed nią prawdziwy strach.

Moja matka. [...]. Nie kochała mnie [...] i owo uprzedzenie sprawiało, że wielokrotnie była wobec mnie niesprawiedliwa. Często niesłusznie mnie karała [...].

16 Piotr Karol, ur. 6 VIII 1766 w Warszawie, zm. 9 IV 1817 w Bavilliers, Francja.

17 Karolina Róża [Rozalia], ur. 4 VII 1764 w Warszawie; por. dalej.

Matka nie cierpiała na przykład kłamstwa i wymagała od nas, abyśmy sami przyznawali się do wszystkich popełnionych przewin. Tymczasem jej surowy ton, gdy zadawała pytania, onieśmiał mnie do tego stopnia, że plątałem się w odpowiedziach, a owo zmieszanie często sprawiało, że nieumyślnie stawałem się kłamcą. W ten sposób, chcąc uniknąć kary, tylko ją przyspieszałem. [...]

Pewnego razu zaginął srebrny sztuciec, o czym doniósł służący, który trzymał pod kluczem zastawę stołową. Wypytywano wszystkich domowników, niczego jednak nie odkryto. Uznano więc, że przez nieuwagę jedno z nas go zabrało. Miałem wówczas siedem lat i kiedy zaczęto zadawać mi pytania, mimowolnie oblałem się rumieńcem, mówiąc „nie, nic nie wiem, nic nie widziałem”. Sprawiałem wrażenie winnego, więc zaczęto komentować moje zachowanie, którego przyczyn do dziś nie rozumiem, ponieważ z całą pewnością ani nie widziałem, ani nie dotykałem zaginionego sztućca.

Przytoczę jeszcze jedno wydarzenie tego rodzaju. Dostałem nowe ubranie w kolorze, który mi nie odpowiadał, dąsałem się więc za każdym razem, kiedy musiałem je założyć. A zdarzało się to często, bo był to strój na dni powszednie. Pewnego dnia ojciec przyszedł towarzyszyć mi podczas lekcji gry na klawesynie. Nie wiem, jakim sposobem na pulpicie instrumentu znalazł się nożyk. Sięgnąłem po niego zupełnie bezwiednie. Podczas gdy ojciec rozmawiał z nauczycielem, rysowałem czubkiem noża różne figury na spodniach, które były tego samego koloru, co reszta ubrania. Kilka dni później odkryto, że spodnie są całe pocięte. Pamiętam doskonale historię z nożykiem i przyznaję się do tego czynu. Matka, wiedząc, że nie lubię tego stroju, zaczęła mnie podejrzewać o krnąbrność. Ja jednak mogę przysiąc, że zrobiłem to zupełnie bezwiednie, myśląc o czymś zupełnie innym. Nie znałem wtedy jednak słowa „krnąbrność”, myślałem, że to synonim „roztargnienia”, nie sądziłem też, iż można przypisać mi winę, której nie popełniłem. Czerwieniąc się cały, przyznałem więc matce rację. Zostałem wtedy, całkowicie niesłusznie, ukarany za krnąbrność, a nie za występki, którego naprawdę się dopuściłem.

Rozdział II

[...]. Piszę te słowa w wieku 40 lat i natychmiast rzuciłbym w ogień papier, gdyby najdrobniejszy zarzut miał zaciemnić pamięć o moich rodzicach. Przeciwnie, często później rozmawiałem z matką o błędach wychowawczych przez nią popełnionych. Przyznała mi rację. Rozważaliśmy nasze zachowanie, jak czynią to zwykle osoby rozsądne – ona powoływała się na motywy, które skłaniały ją do określonych reakcji, i okazało się, że równie błędnie oceniała mój charakter jak ja przyczyny jej surowości. Zresztą rodzice z pewnością pragnęli mojego dobra i niczego nie zaniedbali, aby zapewnić mi staranne wychowanie. Nawet jeśli kilkakrotnie pomylili się co do środków, to im zawdzięczam wykształcenie, będące mi pocieszeniem i wsparciem w okresie niepowodzeń. Podczas spisywania tych wspomnień będę miał jeszcze wielokrotnie okazję dać wyraz miłości i dobroci, które otrzymałem od rodziców, i mam nadzieję nie zostać posądzony o niewdzięczność.

Zostałem wychowany od dzieciństwa w zasadach religii reformowanej, którą wyznawali moi rodzice. [*Moja matka wywodziła się z Langwedocji, ze szlacheckiej rodziny wygnanej z Francji po odwołaniu edyktu nantejskiego; jej wyznanie było więc takie jak mojego ojca... Protestanci polscy należący do szlachty podczas reformacji w większości przyjmowali doktrynę Kalwina; bardzo niewielu wyznawało luteranizm. Tym niemniej była ich dość znaczna liczba w Warszawie, ale niemal wszyscy byli cudzoziemcami, należeli do klasy kupców albo rzemieślników.] Chrzest został mi wprawdzie udzielony w Kościele katolickim¹⁸, nie byłem jednak z tego powodu przymuszony do wyznawania tej wiary. Ponieważ nie było wówczas na miejscu pastora reformowanego, często zdarzało się, że dzieci protestantów chrzcili kapłani katolicki. Sądzę, że w przypadku moich starszych braci i siostr było podobnie. Nie udzielano im całego sakramentu, takiego jaki cechuje ryt rzymski, chrzciono się wodą i solami, bez namaszczenia. Takie chrzty były ważne. Moją metrykę uznawano wszędzie, gdzie byłem¹⁹. Dziadek stryjeczny²⁰, którego zwykliśmy nazywać po prostu dziadkiem, był wyznania ewangelicko-augsburskiego. Był jednym z najważniejszych filarów tego Kościoła, a nawet, stając po stronie dysydentów, odegrał pewną rolę w wywołanych przez nich zamieszkach. [...opowiedział się po stro-

18 W kościele św. Jana Chrzciciela, ob. archikatedra warszawska; natomiast w kościele ewangelickim ochrzczony został tylko najmłodszy syn, Otto Walter.

19 O konieczności okazania się dokumentem chrztu przy wstępowaniu do Wyższej Szkoły Wojskowej ks. Karola Eugeniusza w Stuttgarcie pisze w dalszej części wspomnień.

20 Piotr Tepper z Fergusonów nazywał brata swojej matki stryjem; por. Testament Piotra Teppera z Fergusonów, AGAD MK 291, mkf 2199, s. 198.

nie dysydentów podczas zamieszek²¹, które wywołały różnice religijne w Polsce w pierwszych latach panowania Stanisława Augusta, i prawdopodobnie stałby się ich ofiarą, gdyby nie poparcie udzielone przez hrabiego Salderna²², ambasadora Katarzyny II, które przeważało szalę na rzecz prześladowanych.] To jemu w dużej mierze warszawscy luteranie zawdzięczają piękną świątynię²³, która należy do nich do dzisiaj. Tymczasem jeszcze 30 lat temu nabożeństwa odbywały się w stodole. Nie mając sukcesora, dziadek obawiał się, że po jego śmierci Kościół nie znajdzie równie żarliwego opiekuna, i chciał, aby jeden z nas przyjął luteranizm. Skierował wzrok na mnie, a ja natychmiast się zgodziłem, nie wiedząc dokładnie, co czynię. Ojciec nie śmiał odmówić mu tej przystugi, choć zrobił to bez entuzjazmu. Od tego czasu każdej niedzieli towarzyszyłem dziadkowi we mszy. Kościół luterski mieścił się wtedy jeszcze w stodole²⁴, marzyłem bardzo, ponieważ dziadek kazał mi zdejmować pelisę. Byłem dzieckiem, które nad niczym nie zastanawia się głębiej ani niczego nie osądza, nic nie rozumiałem z kazań, a kościół znaczył dla mnie tyle, co każdy inny budynek.

Świątynia wydała mi się brzydka, ponieważ przypominała stajnię, byłem tam sam ze starcem [*ponurym, milczącym, który nie obdarzył mnie nigdy najdrobniejszą czułością] i nudziłem się. Myślałem o przyjemnościach, jakich doświadcza moje rodzeństwo w kościele reformowanym, który niedawno wzniesiono²⁵, i w końcu poczułem niechęć do luteranizmu. Ojciec nic nie zrobił, żeby mnie zachęcić do postępowania zgodnie z życzeniem wuja, a nawet całkowicie unikał poruszania tego tematu. To wszystko sprawiło, że podjąłem silne postanowienie o powrocie do Kościoła reformowanego, gdy tylko wyjedziemy z Warszawy, o czym mówiło się w domu. Decyzja ta, podobnie jak wcześniejsza, została powzięta przez dziecko, które – jak się później okaże – w istocie nie wiedziało, co czyni.

Dziadek był człowiekiem starej daty, który potrafił zarządzać swoimi dobrami i nie wydawał ani talara, nie spytawszy o cel. Choć nie oszczędził środków, do granic rozrzutności udzielając wsparcia bliźnim w potrzebie, potrafił odmówić pomocy tym, których uważał za niegodnych, i nie sądzę, aby kiedykolwiek dał się oszukać jakiemuś spryciarzowi. Miał głowę na karku i znał się na prowadzeniu interesów.

21 Uchwalenie ustawy o równouprawnieniu dysydentów w 1768 r. stało się jedną z przyczyn zawiązania konfederacji barskiej.

22 Kasper von Saldern (1711–1788), ambasador rosyjski w Polsce od IV 1771 do VIII 1772.

23 Z inicjatywy Piotra Teppera starszego król Stanisław August Poniatowski wydał 15 I 1777 przywilej zezwalający na budowę kościoła ewangelicko-augsburskiego. Inauguracja świątyni p.w. św. Trójcy, zbudowanej wg projektu S. B. Zuga, odbyła się 30 XII 1781; por. F. Schultz, w: *Polska stanisławowska...*, t. 2, s. 423.

24 Dom modlitwy, wybudowany dzięki inicjatywie pastera duńskiego, znajdował się przy ulicy Królewskiej, pierwsze nabożeństwo odbyło się 21 VI 1767.

25 Budynek kościoła (ob. siedziba Warszawskiej Opery Kameralnej) powstał z inicjatywy P. Teppera z Fergussonów w 1777; por. krytyczne uwagi F. Schulza, j.w.

Król August III, podobnie jak cesarzowa Elżbieta, których sprawy prowadził w Polsce, mieli do niego pełne zaufanie.

Przez dłuższy czas był jedynym bankierem w Warszawie i – gdyby potrafił myśleć jedynie o sobie – tylko od jego woli zależałoby utrzymanie tej sytuacji. Jednak wypełniające go uczucia prawdziwej religijności sprawiały, że kierował się zasadą nie- utrudniania bliźnim osiągnięcia szczęścia, którym sam się cieszył. Dlatego właśnie zgodził się na powstanie wielu domów handlowych w praktycznie ich pozbawionej Warszawie, choć stały się dla niego poważną konkurencją, a ostatecznie razem z nami zostały doprowadzone do ruiny²⁶ – i żaden z nich nie przetrwał do dzisiaj. Człowiek ten był godny szacunku nawet z powodu swych wad, ponieważ każda z nich powstała ze słusznego powodu. Zbyt mało o nim wiedziałem, aby samodzielnie móc wydać ten sąd, powtarzały go jednak osoby, które spędziły z nim część życia, widziały go w działaniu, zdobyły jego zaufanie i dogłębnie poznały. Pamiętam, że kiedy czasem wyjeżdżaliśmy w niedzielę na wieś²⁷, oddaloną znacznie od Warszawy, i traciliśmy mszę, zawsze pamiętał, żeby zabrać Ewangelię i czytał nam kilka ustępów po przybyciu na miejsce. Religijność dziadka nie ograniczała się do ostentacyjnych gestów, była w jego sercu, ponieważ skłaniała go do czynienia dobra.

Rozdział III

Opisując historię mego życia, muszę napisać o moim talencie muzycznym²⁸. Stał się on dla mnie tak ważny, że bez wątpienia zasługuje na odrębne miejsce w tych wspomnieniach. Miałem sześć lat, kiedy ojciec, który namiętnie kochał muzykę i doskonale grał na skrzypcach²⁹, kazał mnie uczyć, podobnie jak moje starsze rodzeństwo, gry na harfie. Wydawało się, że mam zmysł do muzyki, o czym świadczyła uwaga, z jaką jej słuchałem, i szalona chęć śpiewania całymi dniami. Porzucałem wszelkie rozrywki, opuszczałem posiłki, zapominałem o wszystkim, gdy tylko usłyszałem śpiew lub dźwięk instrumentu. Miałem zresztą dobry słuch: instynktownie wybiąłem rytm, z łatwością zapamiętywałem melodię.

26 Krach bankowy w 1793 r.

27 Trudno powiedzieć, którą z miejscowości autor miał na myśli: Raszyn, Falenty i Gołków zostały zakupione w 1782 r., a dalej położone Sartowice w 1780 lub 1779 r.

28 Por. J. Bernoulli w: *Polska stanisławska...*, t. 1, s. 366–367.

29 Na skrzypcach grał również Tepper starszy; por. S. A. Poniatowski, *Pamiętniki*, Drezno 1840, s. 40; zapis dotyczy przypuszczalnie 1749 r.

Pamiętam jak pewnego dnia – właśnie siedzieliśmy przy stole – do jadalni weszli mężczyzna i kobieta, wędrowni muzycy w rodzaju tych, których często spotyka się w Niemczech występujących na rogu ulicy i prezentujących przed przechodniami swoje talenty. Kobieta zaśpiewała włoską aryjkę, a mąż akompaniował jej na gitarze. Melodia nam się spodobała i kazano im zagrać jeszcze raz. Tego samego wieczora zaśpiewałem cały utwór, wprawiając rodziców w zdumienie. Nic nie mogło równać się radości ojca, który najął dla mnie nauczyciela gry na harfie. Przez dwa lata pobierałem lekcje, robiłem jednak tak niewielkie postępy, że kontynuację nauki uznano za zbędną. Rodzice stwierdzili, że choć mam zamiłowanie do muzyki, brak mi talentu. Tak się jednak złożyło, że wybór czasu i nauczyciela nie sprzyjał umacnianiu moich uzdolnień. Kazano mi brać lekcje o szóstej wieczorem, a mój nauczyciel – poza tym, że był pijakiem – roztracał wokół siebie tak zatrute powietrze, że uniemożliwiało to posługiwanie się najpotrzebniejszym zmysłem do uprawiania muzyki, gdyż węch z wszelkich sił musiał bronić się przed gwałtownymi atakami nieprzyjemnych woni. W tym samym czasie moje dwie starsze siostry pobierały lekcje klawesynu. Ich nauczycielem był stary, poczciwy Saksończyk, który studiował u [Jana] Sebastiana Bacha i dogłębnie znał swój fach.

Lekcji tych słuchałem z wielką uwagą, a i instrument przypadł mi do gustu. Musiało jednak minąć wiele lat, zanim mogłem pomarzyć o grze na klawesynie, stało się to dopiero wówczas, gdy zmarł dawny nauczyciel i przyjęto nowego. Pasja do klawesynu pozwoliła mi jednak nadrobić cały ten czas – za wszelką cenę chciałem spróbować gry na tym instrumencie. Klawesyn służący moim siostrą stał w sali obok salonu, w którym matka przyjmowała gości. Kiedy tylko uznałem, że jestem sam, wślizgiwałem się tam i jednym palcem grałem melodię, którą usłyszałem poprzedniego wieczoru podczas przedstawienia lub przy innej okazji. Następnie używałem dwóch palców, później trzech, a kiedy prawa ręka wydawała mi się pewna, starałem się dołączyć partię basu. Matka, która kilkakrotnie słyszała te próby, myślała, że to jedna z moich sióstr, pewnego razu wyszła z pokoju, aby skorygować, grę i widząc mnie przy instrumencie, niestety nie zdziwiła. W swej delikatności postarała się, bym nic nie zauważył, opowiedziała jednak o tym wydarzeniu ojcu, który początkowo nie chciał jej wierzyć, ponieważ niepowodzenie nauki gry na harfie odebrało mu wszelką nadzieję co do moich zdolności muzycznych. Pewnego dnia matka zawołała go w czasie, kiedy grałem na klawesynie. Byłem tak zajęty, że nie usłyszałem dwóch stojących za mną osób. Dopiero pocałunek ojca wyprowadził mnie z tego słodkiego niebytu. Ojciec zapytał, czy chciałbym uczyć się gry na tym instrumencie, i na moją prośbę przydzielił mi nauczyciela sióstr. Miałem dziewięć lat i robiłem – mimo całej

przeziębności nauczyciela – tak szybkie postępy, że po dwóch miesiącach umiałem samodzielnie odczytać utwór, a nauczyciel nawet nie musiał wskazywać mi ułożenia palców. W wieku dziesięciu lat skomponowałem poloneza z okazji ślubu starszej siostry i, co jest jeszcze bardziej zadziwiające [*z pomocą nauczyciela] bezbłędnie zapisałem ten utwór. Jeden z naszych przyjaciół [*dyrygent orkiestry teatralnej]³⁰ zaadaptował go na orkiestrę i poloneza zagrano do tańca podczas wesela. Ten pierwszy sukces tak zawrócił mi w głowie, że zacząłem uważać się za geniusza.

Ojciec uznał, że warto przydzielić mi porządnego nauczyciela, niestety w Warszawie nie można było takiego znaleźć. Ostatecznie kształtowania mojego talentu podjęła się pewna kobieta niezajmująca się zawodowo muzyką. Była uczennicą Emmanuela Bacha³¹, a o tym, jak bardzo ją cenił, świadczyły ciągle żywe kontakty między nimi. Jej talent przerósł zresztą wszystko, co dotąd u nas słyszeliśmy. Ojcu było dane uczynienie przysługi jej mężowi, który był jednym z tych aferzystów³², o których się mówi, że mają głowę na karku, ponieważ dysponując niewielkimi środkami, nieoczekiwanie zdobywają sporą fortunę, często inwestując cudzy majątek w ryzykowne przedsięwzięcia – nie narażając się przy tym na żadne straty, gdyż nawet własny honor nic dla nich nie znaczył. Lekcje owej madame Zernitz³³, których początkowo udzielała nieodpłatnie, pozwoliły mi poczynić takie postępy, że po kilku miesiącach grałem sonaty Emmanuela Bacha, będącego wówczas ulubionym kompozytorem. Niedługo potem wykonałem jego koncert na orkiestrę. Emmanuel Bach napisał dwa koncerty: dla mojej starszej siostry i dla mnie. Nadal jestem w posiadaniu kopii tego utworu z dedykacją zapisaną jego ręką.

Jak już mówiłem, lekcje te początkowo były darmowe. Mąż owej damy wkrótce do tego stopnia zawikłał się w interesach, że całkowite bankructwo zmusiło go do szukania protekcji u ministra Prus, który przez jakiś czas udzielał mu schronienia w swoim pałacu, a następnie umożliwił potajemny wyjazd. Po tym nieszczęściu mój ojciec zaproponował madame Zernitz apartament³⁴ w należącym do niego

30 Gaetano, właściwie Kajetan Majer (ok.1750–przed 1812), nadworny muzyk Stanisława Augusta, był w latach 1779–1793 dyrygentem orkiestry teatralnej, lecz to o Janie Stefanim, jako komponującym dla Tepperów, pisali pamiętnikarze (por. dalej).

31 [Carl Philipp] Emanuel Bach (1714–1788), przez współczesnych był bardziej ceniony od ojca. Zadedykował E. Zernitz swoje kompozycje: *Sechs Clavier-Sonaten für Kenner und Liebhaber, der Madam Zernitz, geborene Deeling in Warschau, aus besonderer Hochachtung und Freundschaft gewidmet und componiert*, Leipzig, 1779 – <http://www.shlb.de/noer.html>

32 Był m.in. sekretarzem Augusta Moszyńskiego (1731–1786) i nauczycielem w Szkole Rycerskiej.

33 Eleonora z domu Deeling była jedną z matek chrzestnych urodzonego 14 VII 1772 Daniela Frydryka. Por. opis spotkań z Eleonorą i jej mężem F. C. Zernitzem w Warszawie w 1779 Bernoulliego, w: W. Zawadzki, *Polska stanisławowska...*, t. 1, s. 366–370.

34 List, który Antoni Sułkowski napisał w języku niemieckim do nieznannej adresatki: „niezmiernie uroczej, boskiej damy mego serca hrabiny Livonii, ambasadorki rządzącej wszystkimi sercami w Nowym Hotelu Teppera”, mógł być adresowany do Eleonory mieszkającej w 1780 roku w Pałacu Tepperów; por. *Warszawski teatr Sułkowskich, dokumenty z lat 1774–1785, Materiały do dziejów Teatru w Polsce*, Z. Raszewski, E. Szwankowski, t. 5, Wrocław 1957, s. 273–274.

domu, nie czyniąc z nią żadnych ustaleń co do mnie, prosił ją tylko o otoczenie mnie opieką, jaką była w stanie mi zapewnić. Mieszkała u nas około roku, a następnie wyjechała do Paryża³⁵, skąd nie mieliśmy już o niej żadnych wieści³⁶. Jestem winny tej kobiecie słowa szacunku, ponieważ to ona rozwinęła mój talent i pozwoliła pewnego dnia znaleźć się pośród najlepszych klawesynistów. Pod jej kierunkiem osiągnąłbym to, czego się po mnie spodziewano, widząc ogromne postępy, jakie czyniłem. Mogę powiedzieć, że wyrosłem ponad przeciętność, nie osiągnąłem jednak takiego mistrzostwa, jakie mógłbym i jakie zapowiadałem. Najważniejszą przyczyną tego stanu rzeczy – mogę to powiedzieć – były nieumiarkowane pochwały, którymi mnie obsypywano. Sprawily one, że stałem się zarozumiały i sądziłem, iż umiem już wystarczająco dużo, zwłaszcza jak na amatora, co pozbawiło mnie chęci rozwijania umiejętności. Inaczej by się stało, gdyby madame Zernitz została z nami. Nie pochlebiała mi i zmuszała mnie do przyznania, jak wiele muszę się jeszcze nauczyć. Byłem do niej przywiązany jak do matki, mój przykry i trudny do poskromienia charakter stawał się przy niej uległy, choć jej napady złości i kaprysy często sprawiały mi przykrość. Jednakże sukcesy, które osiągałem dzięki tej kobiecie, tak bardzo pochlebiały mojej miłości własnej, że kochałem ją z całego serca i mogła na wszystko sobie ze mną pozwolić. [...]

Po wyjeździe madame Zernitz straciłem wszelką ochotę do nauki. Wiedziałem, że nauczyciel, którego przyjęto na jej miejsce, nie dorównywał swojej poprzedniczce – pozwoliłem sobie na skrytykowanie go, skończyło się dawne zaufanie i czynione przeze mnie postępy. Przytoczę tu wydarzenie, które sprawiło, że po wszystkie czasy zapalałem niechęcią do nowego nauczyciela. Pewnego dnia powiedziałem, z całą naiwnością dziecka i nie kierując się złą wolą, że od czasu wyjazdu madame Zernitz gra na klawesynie nie sprawia mi już takiej przyjemności. To moje spostrzeżenie nauczyciel potraktował jako zniewagę i poszedł poskarżyć się rodzicom. Ojciec, choć miał do mnie słabość, gdy uważał, że nie ma powodów skarżyć się na mnie, potrafił przybrać władczy i surowy ton, czując się urażony. [...] Kiedy pojawiłem się na lekcji, wymierzył mi w obecności oskarżyciela dwa policzki, co zaskoczyło mnie tym bardziej, że nie mogłem odgadnąć przyczyny kary, zapomniałem bowiem już słów, za które ją otrzymałem. Musiałem przyznać ojcu rację, choć kara wydawała mi się nadto surowa, i zachowałem urazę w stosunku do nauczyciela, którego ostatecznie

35 Opuściła Warszawę w drugiej połowie 1780 roku w towarzystwie [Jean Baptiste de Jancigny] Dubois; por.: W. Zawadzki, *Polska stanisławowska...*, t. 1, s. 370 (przypis). W drodze do Paryża odwiedzili Georga Benda (1722–1795); por. J.G. Grohmann *Neues Historisch-biographisches Handwörterbuch, oder Kurzgefaßte...*, Leipzig 1805, t. 8, s. 311.

36 E. Zernitz wysłała z Paryża (12 V 1782) list do Stanisława Augusta z prośbą o rekomendację w związku z jej staraniami o pracę w charakterze damy do towarzystwa u siostrzenicy Woltera, madame Duvivier (w dokumentach brak informacji potwierdzającej wysłanie listu polecającego); por. AGAD, Archiwum Ghigiottiego, sygn. 909.

zwolniono ze względu na niechęć, jakiej nabrałem do lekcji. Na jego miejsce przyjęto innego, który – choć był mniej zdolny – traktował mnie łagodnie, potrafił uczyć i nakłonić do grania utworów, których sam nie był w stanie wykonać. W tym czasie mój talent stał się już tak sławny, że wybranemu dla mnie nauczycielowi schlebiało, iż może mnie uczyć, i ze szczególnym staraniem przykładał się do lekcji. [...] Co roku w kościołach protestanckich świętowano dzień 4 listopada, czyli rocznicę powrotu króla (Stanisława Augusta) do stolicy³⁷, po ocaleniu ze spisku przygotowanego przez Pułaskiego³⁸. Uroczystym obchodom zwykle towarzyszyła muzyka i czyniono wszystko, aby nadać im możliwie najbardziej wystawny charakter. Mój ojciec jako pierwszy syndyk kościoła protestanckiego doprowadził do tego, że zagrałem z tej okazji koncert [*w wieku ośmiu lat³⁹] ku zadowoleniu i zadziwieniu wszystkich obecnych. Byłem już tak przyzwyczajony do tego typu sukcesów, że nie zrobiło to na mnie większego wrażenia, inaczej jednak zareagowałem, gdy miesiąc później ujrzałem swoje nazwisko wyróżnione w „Gazette de Hambourg”.

Mniej więcej w tym samym czasie do Warszawy przyjechał Pugnani⁴⁰ ze swoim uczniem Viottim⁴¹. Kiedy ten pierwszy usłyszał moją grę, był tak zadziwiony, że rzucił mi się na szyję i ucałował, a wróciwszy do siebie, zabrał się do komponowania koncertu klawesynowego, który dwa tygodnie później mi podarował. Zyskałem wówczas przyjaźń tych dwóch wirtuozów, a Viotti, który ze względu na swoją uprzejmość, czarującą postawę oraz talenty (miał wtedy zaledwie 21 lat) stał się bardziej lubiany od mistrza, był wszędzie przyjmowany i mógł spędzać czas na rozrywkach, zamiast korzystać z życia, przychodził co wieczór i przeznaczał dwie godziny, żeby mi towarzyszyć i grać ze mną, wówczas jedenastoletnim dzieckiem. Kochałem tego drogiego Viottiego jak brata. Dlaczego nie dane mi było spotkać go więcej? Z jaką radością przytuliłbym do serca tego starego przyjaciela, który tak wiele zrobił dla rozwoju mojego talentu i ukształtowania gustu, a nadto, pomimo swych wielkich zasług, pozostał skromny i miły. Podczas pobytu muzyków w naszej stolicy, Pugnani i Viotti dali trzy koncerty dla subskrybentów. [*Próżność Pugnaniego nie miała sobie równych. Patrząc na niego, można było odnieść wrażenie jakby oddawanie się muzyce, a on uważał się za jednego z pierwszych w tej materii, było

37 Por. N.W. Wraaxall w: *Polska stanisławowska...*, t. 1, s. 516–524.

38 Kazimierz Pułaski (1745–1779), po upadku konfederacji barskiej skazany zaocznie na śmierć za próbę królobójstwa opuścił Polskę; w 1777 r. wstąpił do armii Waszyngtona; zmarł w wyniku ran odniesionych w bitwie pod Savannah.

39 W koncercie, który odbył się 4 XI 1778 r. w kościele ewangelicko-reformowanym św. Trójcy, wystąpili trzej synowie Piotra Teppera-Fergusona, zapewne Piotr Karol, Filip Bernard i Ludwik Wilhelm; Ludwik Wilhelm miał wówczas prawie 10 lat; por. Estreicher, *Bibliografia staropolska*, t. 31, s. 99 – <http://estreicher.uj.edu.pl/baza>.

40 Gaetano Pugnani (1731–1798), skrzypek włoski, uznawany za jednego z najwybitniejszych wirtuozów swej epoki, koncertował w wielu miastach europejskich; pobyt w Warszawie był częścią tournée, które odbył z Viottim w latach 1780–1782. Z Warszawy udał się do Petersburga.

41 Giovanni Battista Viotti (1755–1824), włoski skrzypek i kompozytor, uczeń Pugnaniego.

aktem wyjątkowym, było same w sobie godne najwyższego szacunku. Opowiadał, że Pugnani, gdy zdarzyło mu się wystąpić w Ferney przed Wolterem, który będąc niezbyt wrażliwym na czar skrzypiec, rozmawiał podczas koncertu z sąsiadami, powiedział po odegraniu kawałka: „Ten Wolter jest prostakiem, potrafi docenić tylko tragedie”. Pugnani miał nos o ponadnaturalnej długości i wypukłe oczy, które przyjęło się uważać za typowe dla krótkowidza. Nic nie było śmieszniejszego nad obserwowanie ruchów, jakie wykonywał podczas gry. Jego ciało odginało się zgodnie z ruchem ramienia, a głowa wciąż przesuwała się od prawa do lewa. Pamiętam jak pewnego wieczoru, gdy grał u nas, to gwałtowne potrząsanie głową spowodowało, że okulary spadły mu na ziemię. Wówczas przybliżył twarz do kartki, lecz jego nos rzucał cień, i nic już nie widział. Musiał rozpocząć grę od początku.] Wpadłem na dziwny pomysł zagrania z nimi i powiedziałem im o tym, oni zaś poruszyli ten temat z moim ojcem, a ten się zgodził. Proszę sobie wyobrazić jedenastoletniego chłopca, amatora, mającego śmiałość publicznie występować u boku dwóch najlepszych muzyków w Europie. Byłem zuchwały i osiągnąłem całkowity sukces, który sprawił, że przewróciło mi się w głowie. W koncercie uczestniczył król i cała dwór, a później zostałem obsypany pieścizotami. Sam król wstał z krzesła i mnie ucałował. Matka na tę okazję odziała mnie w piękny kaftan, z którego byłem tak dumny, że wszystkim go pokazywałem. Od tego momentu uważałem się za niezrównanego geniusza, na próżno mi powtarzano, że pochwały te służyły tylko zachęcić do dalszej pracy. Było za późno, nie wierzyłem w te słowa i uznałem, że nic więcej nie muszę już robić. To właśnie zahamowało mój talent i nie pozwoliło mi doprowadzić do jego pełnego rozkwitu. Później zresztą tak źle mną pokierowano i zajmowano się mną na tak różne sposoby, że dziwić może, iż nie stałem się całkiem płytki. Przekonamy się zresztą, czego sam musiałem dokonać, aby osiągnąć karierę.

Byłem na tym etapie nauki gry na klawesynie, gdy opuściłem Warszawę, aby udać się w podróż. Dorzucę jeszcze kilka szczegółów, które pokażą, do jakiego stopnia muzyka w tym okresie zdominowała moje myśli i uczucia. Spędzałem czas przeznaczony na odpoczynek, śpiewając. Ale nie jak inne dzieci, które nucą łatwą melodię, często niewyraźnie. Brałem dwie tyczki, służące mi za skrzypce i smyczek, w myślach dyrygowałem orkiestrą, a stopą wystukiwałem rytm i wyśpiewywałem na całe gardło symfonie, arie operowe, uwertury i utwory komponowane przeze mnie na poczekaniu.

Do tego stopnia przeszkadzało to wszystkim domownikom, że nasz guwerner został zobowiązany do karania mnie za każdym razem, gdy usłyszał mój śpiew. Ściągałem na siebie karę 20 razy na dzień. Pasja do muzyki sprawiała, że zapomniałem, gdzie jestem – śpiewałem wszędzie. Ponieważ nie pozwalano mi robić tego

w pokojach, śpiewałem na korytarzach, na schodach, w ogrodzie, myśląc, że tam mogę dyrygować swoją orkiestrą i śpiewać do woli. Mój smyczek i skrzypce, będące tylko tyczkami wyrwanymi z dwóch doniczek, w których rósł mak, stały się dla mnie tak ważne, że chowałem je z największą starannością, aby następnego dnia z łatwością móc je odnaleźć. Jeśli przez przypadek ogrodnik lub ktoś inny schował gdzieś te kijki, bardzo się martwiłem, uważałem bowiem, że dwa inne nie będą mogły mi równie dobrze służyć, i z przepętnionym smutkiem sercem szukałem czegoś, czym mógłbym je zastąpić. Ów zwyczaj śpiewania na całe gardło sprawił, że straciłem głos, który był piękny i czysty, gdy miałem 10 lat.

Nie znosiłem włoskich recytatywów, ponieważ nie mają żadnej melodii i nie można wybić ich taktu. Kiedy słyszałem wyjącego psa lub miauczącego kota, twierdziłem, że wykonują recytatyw, gdyż wydawało mi się, że utwór pozbawiony rytmu i melodii nie jest muzyką. Nie lubiłem też aryjek i rond, nudziły mnie i zdawały mi się zawsze takie same. O wiele więcej przyjemności znajdowałem w duetach, kwartetach i zespołach wokalnych. Ale przede wszystkim podobały mi się symfonie i utwory na orkiestrę dętą. Upodobania te zachowałem do dzisiaj. Przyznaję, że znośnie zagrana symfonia większe na mnie wywiera wrażenie niż najlepiej wykonana aria. Być może dlatego, że zawsze wykonywałem więcej pięknych kompozycji niż wybranych fragmentów, a symfonia jest dziełem, które najbardziej podziwiam.

Mniej więcej w tym czasie usłyszałem po raz pierwszy uwerturę do *Ifigenii w Aulidzie*⁴². Muzyka ta oczarowała mnie do tego stopnia, że wydałem głośny okrzyk i przez dłuższy czas rozbrzmiewała mi w głowie. Nie mogę oddać uczuć, jakich doznawałem, słuchając pierwszej fugi. Ten rodzaj muzyki wydawał mi się tak subtelny, tak wspaniały, że nie chciałem słuchać niczego innego, a wszystkie inne utwory sprawiały wrażenie bladych i pozbawionych energii. Pozostałem wierny tym upodobaniom, które wpłynęły też na sposób, w jaki odczuwałem muzykę taneczną. W orkiestrze królewskiej pierwszym skrzypkiem był pewien Czech imieniem Gaetano⁴³. Miał on szczególny talent do komponowania polonezów, jednak zbyt kunsztownych, aby grać je podczas balów, dlatego wykonywane były w teatrze podczas antraktów. Rozmiłowałem się w tej muzyce do tego stopnia, że dąsałem się i tańczyłem bez przyjemności, gdy grano inne polonezy. Wszystkie te, które

42 Opera Krzysztofa Willibalda von Glucka (1714–1787). L. Bernacki nie podaje, by w Warszawie w interesującym nas okresie była wystawiana. Dnia 10 I 1790 r. grano natomiast tegoż autora *Orfeo ed Euridice*; por. L. Bernacki, *Teatr, dramat i muzyka*, Lwów 1925, t. 1, s. 321. Przypuszczalnie uwerturę usłyszałem na balu.

43 Gaetano, właściwie Kajetan Majer (przed 1750–przed 1812), był Polakiem, natomiast Czechem był Jan Stefani (1746–1829). Zastąpił on Majera na stanowisku dyrygenta teatralnej orkiestry. Właśnie Stefaniemu wg przekazów pamiętnikarskich zlecał Piotr Tepper z Fergusonów pisanie polonezów, sowiec go za nie wynagradzając; por. K. W. Wójcicki, *Pamiętniki dziecka Warszawy*, Warszawa 1974, t. 2, s. 471.

nazywano „do tańca”, wydawały mi się pozbawionymi gustu błyskotkami w porównaniu z utworami kompozycji Gaetana. Jego polonezy były tak piękne pod względem kompozycji, że żałować należy, iż nie są szerzej znane, z pewnością bowiem przydałyby mu sławy.

Opiszę teraz prawdziwe dziwactwo, które przyszło mi do głowy pewnego dnia i które do dziś sprawia, że myśląc o nim, sam z siebie się śmieję. W domu mojego ojca często organizowano koncerty na orkiestrę. Zawsze brałem w nich udział, a pewnego dnia miałem zagrać dwa razy z rzędu. Granie dwukrotnie tego samego wydało mi się nudne, postanowiłem więc zagrać wyższe tony prawą ręką, a basy lewą. Mój nauczyciel na próżno ostrzegał mnie, że nie przyniesie to dobrych efektów. Uznałem, że będzie to kolejny sposób wyróżnienia się, i dalej uczyłem się koncertu w sposób, jaki opisałem wcześniej, nie bacząc na kakofonię, która musiała z tego wyniknąć.

Publiczność z cierpliwością wysłuchała mnie do końca, później nakłoniono mnie jednak, abym od tej pory grał muzykę tak, jak została zapisana w nutach i pozostawił basy basami. Trudno było mi uwierzyć, że może to przynieść złe skutki, ponieważ wydawało się, że skoro bas stroi się ze śpiewem o niższej tonacji, dostosuje się on również do wyższej. Doszedłem do tego wniosku, wysłuchawszy fugi, w której zaskoczyła mnie imitacja tematu w każdej części, i właśnie to sprawiło, że wpadłem na ten pomysł. Eksperyment podobny temu pokazał mi, że co do sedna się nie myliłem, jednak w praktyce nie wszystko wychodzi tak, jak powinno.

Teraz powróćmy do wątku mojej historii, który podejmę w następnym rozdziale.

Rozdział IV

Na nasze wykształcenie przeznaczano ogromne sumy, choć nie było ono tego warte. W okresie dzieciństwa powierzono nas guwernerowi z Berlina, który nazywał się Malmaison. Człowiek ten odznaczał się inteligencją i wiedzą i choć był bardzo surowy, potrafił zdobyć nasze uczucie do tego stopnia, że bardziej kochaliśmy go niż naszych rodziców. Umiał zabawić nas na tysiące sposobów, zajmował nas ćwiczeniami fizycznymi, które poza tym, że były korzystne dla zdrowia, stanowiły dla nas wielką atrakcję, ponieważ potrafił je urozmaicać. Kazał nam strzelać z kuszy

i z dmuchawki, a sam był tak biegły w tych dziedzinach, że wygrywał najtrudniejsze zakłady. Opowiem teraz, jak pewnego razu zabawił się kosztem pewnego woźnicy. Zanim ojciec wybudował dom, w którym później zamieszkaliśmy, zajmowaliśmy przestronny gmach zwany Marville⁴⁴, należący do kapituły starych kanoniczek i zamieszkiwany przez wiele osób. [*Był to ogromny czworobok 1000 do 1200 kroków długości na około 600 szerokości. Kanoniczki zamieszkiwały jedną z jego stron. Nie wiem, jakiej regule były one podporządkowane, nie musiała jednak być szczególnie surowa, wnosząc ze stylu ich życia. W czasach, o których mówię, było ich osiem. Najmłodsza mogła mieć 40 do 45 lat. Należały do tych osób, którym Hymen odmówił swych względów i których cnota, choć nie wodzona na pokuszenie, nie stała się przez to mniej godna szacunku. Była ona tu wynagradzana życiem w wygodzie i dostatku, którego jedyne ograniczenie stanowiła konieczność podporządkowania się matce przełożonej⁴⁵. Sądząc po jej obfitych kształtach, potrafiła dobrze korzystać z sytuacji, by nie być nadmiernie wyrozumiałą w stosunku do swych podwładnych. Kanoniczki lubiły otaczać się dziećmi i często w niedziele byliśmy do nich przyprowadzani. Nie wiem, czy znajdowały przyjemność w przyjmowaniu nas, ale my wieczorki te uznawaliśmy za bardzo nudne. Ja byłem w sposób szczególnie prześladowany, gdyż byłem wciąż zmuszany do śpiewania melodii z fars czy recytowania całych tyrad z komedii, między innymi kilku scen z *Chorego z urojeń*⁴⁶, które naśladowałem dość udatnie, gdyż widziałem je w teatrze. To co cieszy, gdy jest czynione z własnej woli, staje się nie do zniesienia, gdy wynika z przymusu. Spotkania kończyły się tańcami, do których trzech ogromnych lokai przygrywało na skrzypkach. Ten dom, zajmujący rozległy teren, był zamieszkiwany przez osoby wszelkiego rodzaju. Można też było mieszkać we wnętrzach umeblowanych specjalnie na wynajem.] Do Warszawy przybył wówczas pewien awanturnik, który twierdził, że potrafi wyprodukować złoto. Rzeczywiście posiadał taką umiejętność, ale czynił to, przelewając dukaty z kieszeni naiwniaków do swojej. Pośród osób, które pozwoliły w ten sposób okraść się ze złota i z czasu, znalazł się hrabia Seweryn

44 Marywil. Mieszkał tam w latach ok. 1754–1777 Piotr Tepper starszy z żoną i dziesięciorgiem służby i miał swój kantor i sklep; np. w 1763 r. sprzedawał w nim *Plan Warszawy* P. Ricaud de Tirregaille'a; por. *Źródła do dziejów Warszawy, Spis Mieszkańców i Nieruchomości Starej Warszawy z 1754 r.*, Warszawa 1963, s. 426; A. Rychłowska-Kozłowska, *Marywil*, Warszawa 1975, s. 67; H. Widacka, *Znane i nieznanne szychy G.J. Marstallera*, Rocznik Biblioteki Narodowej, XXXIII–XXXIV, 2001, s. 241. Tu też mieszkał Piotr Ferguson, najpierw przy stryju, a następnie z szybko powiększającą się rodziną do czasu przenosin do pałacu przy ulicy Miodowej.

45 Od 1749 r. przełożoną była Zofia Komorowska (1717–1793); por. A. Magier, *Estetyka miasta stołecznego Warszawy*, Warszawa 1963, s. 210, s. 398–399, gdzie też informacje o pozostałych siedmiu kanoniczkach, wg S. Konarski, *Kanoniczki warszawskie*, Paryż 1952.

46 L. Bernacki pierwsze przedstawienie tej sztuki w teatrze warszawskim w interesującym nas okresie odnotował 28 IX 1783; por. L. Bernacki, *Teatr, dramat...*, t. 1, s. 138; t. 2, s. 263; natomiast *Lekarz mimo woli* (*Le médecin malgré lui*) został wystawiony przez francuską trupę 29 X 1777; tamże. Może autor pomylił te dwie sztuki. W 1783 r. nie było go przypuszczalnie w Warszawie, gdyż kształcił się w Strasburgu.

Rzewuski⁴⁷, wielki alchemik, który nie bacząc na nic, z pasją zaangażował się w eksperymenty oszusta. Ten zajmował apartament sąsiadujący z naszym i codziennie, oczywiście, widywaliśmy powóz hrabiego na dziedzińcu. Przyjeżdżał o dziewiątej rano i nigdy nie wyjeżdżał przed północą czy pierwszą w nocy. Malmaison zaniepokojony widokiem marznącego na dworze woźnicy hrabiego, chciał go rozerwać: wziął dmuchawkę, włożył do niej glinianą kulkę i tak dobrze wycelował w momencie, kiedy mężczyzna na koźle zażywał tabaki, że kulka wpadła prosto do tabakierki. Tabaka się rozsypała, zasypując woźnicy oczy, a ponieważ okno, z którego nadleciał pocisk, znajdowało się na trzecim piętrze, w pewnym oddaleniu, a biedak wiedział, czym zajmuje się jego pan, pomyślał, że to diabeł wyleciał z alchemicznego tygla, i zrobił znak krzyża, przeklinając szarlatanów produkujących złoto.

Gdyby ów pocziwy Malmaison został z nami, byłby nam bardzo pomocny, a przywiązanie, którym go darzyliśmy, pomogłoby mu w staraniach, jakich nie szczędził, abyśmy odnieśli sukces, jednak nieszczęśliwe dla niego wypadki spowodowały, że rozdzielono nas zbyt wcześnie. Nasze siostry miały guwernantkę ze Szwajcarii, madame Hugot. Kobieta ta odznaczała się wszelkimi wadami starej panny i starała się na wszystkich wkoło odegrać za niedocenianie jej powabów. Zakochała się w biednym Malmaisonie, który choć nie odwzajemniał uczucia, stał się jej niewolnikiem, bał się bowiem siły jej charakteru, a przede wszystkim jej miłości. Być może uznał też za wygodne wdać się we flirt bez konieczności wychodzenia z domu. Jak łatwo sobie wyobrazić, sekretu nie udało się długo utrzymać. Tym bardziej że wkrótce pozostawił on ślad na figurze mademoiselle Hugot. Oboje opuścili nasz dom. Malmaison był wystarczająco uczciwy, aby wziąć ją za żonę, wątpię jednak, aby znalazł przy niej szczęście. Odtąd nie mieliśmy o nim żadnych wieści. Zastąpił go inny guwerner z Berlina, który nosił nazwisko Gronau⁴⁸. Był to najpocziwszy z ludzi, z trudem jednak zyskiwał nasze zaufanie, ciągle bowiem pamiętaliśmy o Malmaisonie. Ostatecznie jednak, dzięki łagodności i wiedzy, przekonał nas do siebie. To on pokazał mi po raz pierwszy termometr, który przywiózł z Berlina, i myślę, że poza tym, który znajdował się w obserwatorium⁴⁹, był to wtedy jedyny taki przyrząd w Warszawie.

47 Seweryn Rzewuski (1743–1811), syn hetmana wielkiego koronnego Wacława, znany był ze swego zainteresowania alchemią.

48 Może krewny znanego z obserwacji meteorologicznych berlińskiego pastora wyznania ewangelicko-reformowanego Karla Ludwiga Gronau (1742–1826).

49 Obserwatorium astronomiczne, czyli strażnica gwiazdorska, zostało urządzone na Zamku Królewskim. Zajmował się nim eksjezuita, ks. kanonik Jowinus Fryderyk Bystrzycki (1737–1831), który od 1779 zapisywał pomiary „barometru, temperatury powietrza i stanu nieba”; por. A. Magier, *Estetyka miasta...*, s. 130; Bernoulli, w: W. Zawadzki, *Polska stanisławowska...*, t. 1, s. 408.

Ów Gronau poślubił pokojówkę mojej matki i nas opuścił. Ojciec umieścił go na stanowisku inspektora w kościele protestanckim, pozostał tam przez krótki czas, po czym wrócił do swojej ojczyzny. Po nim przydzielono nam byłego jezuitę o nazwisku Jué⁵⁰, człowieka dużej wiedzy i szczególnego talentu do nauczania, który odznaczałby się wszelkimi cechami koniecznymi do kierowania edukacją, gdyby tylko był mniej zepsuty. [*Ksiądz Jué łączył w sobie wszystkie wady i zalety przypisywane jego zgromadzeniu: zasady najsurowszej dyscypliny, nadzwyczajny talent do nauczania połączony z rozległym wykształceniem; cechowała go jednak też swoboda obyczajów, która doprowadziła jezuitę do rozwiązłości. Poza tym był mało użyteczny dla swych współbraci w kwestii prozelityzmu, gdyż nie widziałem nigdy człowieka, który byłby bardziej wyniosły, uprzedzony i który miałby mniejszy dar bycia kochanym. Pod tym względem nasze wyznanie religijne nie było w najmniejszym stopniu zagrożone. Muszę też zaznaczyć, ku jego chwale, że nigdy nie próbował wpłynąć na zmianę naszego wyznania, ale jeśliby tylko podjął taki zamiar, wystarczyłoby, iż pochodził od niego, by stać się dla nas wstrętnym.] Wspomnienie o nim na zawsze przetrwa w naszej rodzinie, już wkrótce wyjawię, z jakiego powodu. Zaczął od całkowitej zmiany naszego trybu życia i wprowadzenia większej regularności w rozkładzie dnia, zaplanował naszą naukę i ściśle przestrzegał tego planu, kazał wykonywać ćwiczenia zdrowotne, a dzięki szczególnemu darowi nauczania – właściwemu dla jego zakonu – więcej nauczył nas w pół roku niż uprzedni guwernerzy w ciągu czterech lat. Poza tym, zajmując się nami, wpajał nam porządek i oszczędność, których wcześniej nie znaleźliśmy nawet z nazwy, i muszę przyznać, że jego wysiłki nie poszły całkiem na marne. Nie odniósł jednak równie dużych sukcesów, jeśli chodzi o zmiany dotyczące naszych rozrywek. Zbyt nas do nich przyzwyczajono, aby jakakolwiek odmiana była możliwa, nie przyczyniając się do niechęci wobec tego, kto by do niej doprowadził. Często dochodziło do ostrej wymiany zdań na ten temat z moimi rodzicami, którzy powinni – dla naszego dobra – dać mu więcej wolności, jeśli chodzi o nasze wychowanie. Jak łatwo się domyślić, podczas tych sprzeczek staliśmy po stronie rodziców. Niedługo zresztą z nami pozostał, ponieważ po naszym wyjeździe z Warszawy, ksiądz Jué został z moim młodszym bratem, Danielem⁵¹, którego bezwiednie uczynił najniešťczęśliwszą z istot i zarazem przyczyną największych zmartwień moich rodziców. Jest to zbyt ważna sprawa dla naszej rodziny, abym mógł ją przemilczeć, sądzę nawet, że mam obowiązek opisać

50 A. Magier, *Estetyka miasta...*, s. 161: „abbé Antoni Juet z Perpignan, dawniejszy nauczyciel domowy synów bankiera Teppera, który później udzielał różnych nauk w języku francuskim po pensjach i po domach; on to co rok miewał wymowne kazania francuskie w kościółku panien karmelitek. Życie zakończył w r. 1825 d. 9 lipca w wieku 87 lat”.

51 Daniel Fryderyk, ur. 14 VII 1772, po śmierci ojca znalazł się pod kuratelą Kosiorowskiego jako niedołyżny, zm. 22 VI 1805, por. W. Kornatowski, *Kryzys bankowy...*, s. 18.

ją w tym miejscu. Jeżeli ktoś któregoś dnia przeczyta te słowa, niech się nad nimi zastanowi, mogą bowiem stanowić przestrogę dla wszystkich.

Książd Jué karał nas tylko w jeden sposób, zmuszając do pracy w czasie przeznaczonym na zabawę. Kara trwała kwadrans, pół godziny, czasem godzinę, w zależności od popełnionej winy. Sposób ten był bardzo dobry, nie powinno się jednak pozostawiać karanego bez nadzoru. Tę samą metodę Jué stosował wobec Daniela po naszym wyjeździe z Warszawy. Brat zawsze musiał coś napisać lub nauczyć się wiersza na pamięć, a guwerner czas ten przeznaczał na składanie wizyt, w których ktoś trzeci byłby dla niego przeszkodą. Dziecko pozostawało wtedy samo w zamkniętym pokoju i, jak można się domyślić, ogarniały je uczucia lęku i nudy. Pewnego razu, kiedy biedny Daniel nie dał powodu do nałożenia nań kary, książd – aby nie spóźnić się na spotkanie – uznał za łatwiejsze wziąć go ze sobą i pozostawić w kuchni pod opieką służącej. Rok później, w wyniku tej wizyty i stosowania odosobnienia jako kary, brat mój dostał ataków epilepsji, których nigdy nie udało się wyleczyć mimo przeznaczania na ten cel dużych sum. Z roku na rok choroba się nasilała i ostatecznie doprowadziła chłopca do utraty zmysłów.

Widziałem, jak brat mój – nieszczęsna ofiara zaniedbania – miewał 15 ataków w ciągu dnia. Napady poprzedzane były przez gwałtowne ruchy, tak silne, że czterem osobom z trudem udawało się utrzymać chorego. Brat zmarł w wieku 30 lat⁵² podczas jednego z ataków choroby, na szkodę swoją i naturze, która odmówiła mu ratunku, a raczej nałożyła nań jarzmo za życia. W dalszych częściach tych wspomnień będę miał jeszcze okazję o nim opowiedzieć.

[Pewien wielki polski pan, wielkiego nazwiska i fortuny⁵³, sprowadził z Genewy, dla nauczania swego syna⁵⁴, matematyka nazwiskiem Lhuilier⁵⁵. Mój ojciec uzyskał od niego pozwolenie, by zajął się również naszym nauczaniem. Mieszkał w pałacu tego pana i odbywaliśmy lekcje u niego. Był on odpychający ze względu na brzydotę, a jeszcze bardziej z powodu brutalności [...] i onieśmielał mnie tak bardzo, że nie byłem zdolny zebrać myśli, gdy zwracał się do mnie. Wszystko to sprawiało, że udawałem się na lekcje z równą dozą obaw, jak i odrazy. Zdaje mi się, że i on przyjął wobec mnie te same uczucia niechęci, co dawał mi do zrozumienia przy wszystkich okazjach, do tego stopnia, że podczas zajęć zwracał się do mnie słowami najbardziej obraźliwymi; o tym, co nazywał moją impertynencką głupotą. Nie wiem,

52 W momencie śmierci liczył 33 lata.

53 Adam Kazimierz Czartoryski (1734–1823).

54 Adam Jerzy Czartoryski (1770–1861).

55 Simon Lhuilier (1750–1840), w Polsce przebywał w latach 1777–1789, był członkiem Towarzystwa do Spraw Książek Elementarnych, autorem polskiego podręcznika szkolnego matematyki wydanego w 1780 r.

czy kiedykolwiek zastanowił się, czy ma sens nauczanie trygonometrii dziesięcioletniego dziecka – bo tyle miałem lat w tym czasie⁵⁶. Zresztą sądzę, że z każdym innym zrozumiałbym ją w końcu, ale sama jego obecność, strach, pozbawiały mnie wszelkiej zdolności myślenia; wystarczyło, że spojrzałem nauczycielowi w oczy, w których widać było coraz większą złość, bym głupiał z kretesem. Raz, gdy kazał mi trzykrotnie powtarzać bez skutku pewne zagadnienie, wzmocnił wyjaśnienie tak silnym uderzeniem pięści, że upadłem na ziemię, a krew zaczęła uchodzić mi przez usta, oczy i nos. Niewiele brakowało, a sięgnąłby mej skroni; tym sposobem wszelkie ganienie mnie oraz same lekcje matematyki stałyby się całkowicie zbyteczne. Nie można powiedzieć, że jego argumentacji brakowało siły. Scena odbyła się w obecności mojego guwernera, który był nią skonsternowany do tego stopnia, że stał jak skamieniały. Zyskałem jednak na tym, bo w ten sposób zostałem uwolniony od pana Lhullier i jego ciągłych reprimend.]

Edukacja nasza przynosiła, zdaniem rodziców, tak marne rezultaty, że ojciec zdecydował się wysłać dwóch starszych braci⁵⁷ i mnie w podróż. Gazety wówczas pełne były informacji na temat akademii Caroline⁵⁸ w Stuttgarcie, którą chwalono pod każdym względem.

Po pewnym wahaniu dotyczącym miejsca naszej nauki, brano pod uwagę Wrocław, Berlin i Lipsk, zdecydowano wysłać naszą trójkę do Stuttgartu. Mój ojciec napisał do instytucji, aby otrzymać bardziej szczegółowe informacje, w odpowiedzi przesłano mu plan zajęć i notatkę dotyczącą wyposażenia uczniów. W rezultacie 2 września 1781 roku wyruszyliśmy w drogę.

Rozdział V

Zanim przejdę do okresu, kiedy opuściłem dom rodzinny, chciałbym nakreślić kilka szczegółów dotyczących mojej rodziny i przypomnieć sobie osoby, które zwykliśmy widywać. Jak już wspominałem, miałem trzy starsze siostry.

56 Czyli lekcje odbywały się w 1777 r.

57 Piotra Karola i Filipa Bernarda [Kajetana] (1768–1829).

58 Wojskowa Szkoła Wyższa założona przez księcia Karola Eugeniusza Wirtemberskiego (1728–1793) działała w latach 1770–1794. Wiek jej uczniów był bardzo zróżnicowany – od małych dzieci do osób dorosłych. Wśród absolwentów byli: poeta Fryderyk Schiller (studujący w latach 1773–1780), malarz Józef Antoni Koch (studujący w l. 1785–1791), zoolog i paleontolog Georges Cuvier (studujący w latach 1784–1788).

Najstarsza, Henryka⁵⁹, poślubiła Arndta⁶⁰, jednego z pracowników mego ojca. Ten dowcipny i inteligentny człowiek kochał ją i uczynił szczęśliwą⁶¹. Nie była urodziwa, tym bardziej że ospa – poza bliznami na twarzy – pozbawiła ją oka, odznaczała się jednak dowcipem, talentami i wszelkimi przymiotami, które sprawiły, że mogła być dobrą matką i żoną. Taką też była i należy do kobiet, które najbardziej szanowałem w Warszawie. Druga siostra, Karolina⁶², miała zgrabną figurę i choć była mniej inteligentna i utalentowana (braki te należy przypisać licznym chorobom, jakie przeszła w dzieciństwie), rekompensowała to przymiotami charakteru, łagodnością i anielską dobrocią. Żeby dać dowód jej szlachetności, przytoczę tu jedno wydarzenie. Pewnego wieczoru, kiedy moi bracia i siostry byli zajęci różnego rodzaju zabawami, przypadkowo podszedłem do niej ze szczyrym w rękę. Kiedy zrobiła ruch, ostrze wbiło się w jej ramię. Krew pociekła strumieniem, a strach spowodował, że krzyknęła, szybko jednak zmieniła zdanie, obwiązała rękę chusteczką i pobiegła do guwernantki, aby ją opatrzyła. Nigdy nie zdradziła, że została zraniona z mojej winy. Miała omdlenia, a rana długo się goiła, nie oskarżała mnie jednak, poprosiła też siostry, żeby nie wyjawily sekretu. Po tym wypadku została jej blizna, a mnie wspomnienie dobroci jej duszy, której nie umiałbym dorównać. Biednej Karolinie szczęście nie było pisane. Wyszła za ministra-rezydenta Prus barona d'Axta⁶³. Był to męczyzna szpetny, kłamliwy, fałszywy, intrygant, który poślubił ją tylko ze względu na posag. Siostra moja i wszyscy domownicy nie znosili go i starali się robić mu psoty. Bał się myszy: wkładano mu martwe gryzonie do kapelusza; nosił mankiety i żabot z koronek: płamiono je atramentem. Pewnego wieczora, kiedy na kolację mieliśmy gofry, które przygotowały moje siostry, jemu podano gofra pokrytego kawałkiem flaneli nasączonej fojem. A jednak! Człowiek ten potrafił zainteresować swoją osobą moich rodziców, tak że popierali go i – co też równie mocno się liczy

59 Henryka Katarzyna (24 V 1763 – 3 III 1834). Para miała sześcioro dzieci: Filipinę Marię, Konstancję Eleonorę, Piotra Wilhelma, Zofię Marię, Piotra Jana, Pawła Dawida.

60 [August] Wilhelm Arndt, syn radcy wojennego króla Prus, pochodził z Wrocławia, początkowo buchalter w banku Piotra Teppera z Fergussonów, następnie bankier, nobilitowany w 1790 (herbu Puchacz) razem z teściem i szwagrem Karolem Schulzem; do zakończenia „dystrybucji masy tepperowskiej” w dn. 2 IV 1802 zatrudniony w charakterze administratora. Uchodził za człowieka „nieco uczonego”, który „posiadał małą bibliotekę, mały gabinet historii naturalnej i narzędzi fizycznych, był właścicielem domu przy ulicy Mazowieckiej pod l. 1348 [obecnie 22]”; por. W. Kornatowski, *Kryzys bankowy...*, s. 187; A. Magier, *Estetyka miasta...*, s. 137.

61 A tak ojciec pisał o motywach, które zdecydowały o małżeństwie córki: „Jego [Arndta] dobre prowadzenie się i inteligencja w interesach sprawiły, że wolałem go od bogatszych partii. Jego zalety zdecydowały o skłonności naszej córki do jego osoby, a jej upodobanie zdeterminowało nasz wybór”, list do Anthony'ego Fergussona, 27 IX 1779.

62 Karolina Róża zw. też Charlotte (tak nazywał ją autor wspomnień) lub Rozalia.

63 Josef Axt, uprzednio urzędnik pruskiej Kompanii Handlu Morskiego, był rezydentem pruskim w Warszawie od VIII 1779 do X 1780; por. J. Michalski, *Dyplomacja polska w latach 1764–1795, Historia dyplomacji polskiej*, Warszawa 1982, t. 2, cz. 4, s. 607. Zawarł związek małżeński z Karoliną po 13 I 1780. Małżeństwo istniało jeszcze 29 IX 1780, wtedy odwiedził parę Dönhoff; por. T. Grygier, *Dziennik podróży Bogusława Dönhoffa*, Teki Archiwalne, t. 16, 1977, s. 20; J. Bernoulli uważał Axta za „dyplomatę, który z bardzo łagodnym usposobieniem łączy wiele rozumu i taktu”; por. W. Zawadzki, *Polska stanisławowska...*, t. 1, s. 386.

– przekonali mą biedną siostrę do oddania mu ręki. Do dziś widzę nieszczęśnicę, gdy mówi „tak”, zalewając się jednocześnie potokiem łez.

Małżeństwo to, jak można się domyślić, było nieudane. Siostra nie mogła żyć z tym człowiekiem, który tak bardzo do niej nie pasował. Miała go zresztą za męża jedynie z nazwiska. Ledwie pół roku upłynęło, kiedy zaczęto mówić o rozwodzie. Baron nie chciał się nań zgodzić i mój ojciec poświęcił cały posag siostry⁶⁴, żeby przekonać go do zerwania tego małżeństwa, tak źle dobranego pod wszelkimi względami. Axt zatrzymał pieniądze i oddał rodzicom córkę w takim samym stanie, w jakim ją otrzymał. Byliśmy szczęśliwi, że pozbyliśmy się tak małym kosztem człowieka, który nigdy nie powinien stać się jednym z nas. Niedługo potem przedstawiono pani d'Axt partię bardziej jej godną i tym razem jednak jej szczęście było tylko częściowe i krótkie.

Pomiędzy licznymi rosyjskimi oficerami, którzy przebywali wówczas w Warszawie i często gościli w naszym domu, major Miłaszewicz⁶⁵ wyróżniał się dobrymi obyczajami. Był to młody człowiek, dobry, uprzejmy, honorowy i prawy – bez zarzutu, gdyby nie zbyt duża skłonność do hazardu. Wszyscy go kochaliśmy i bez trudu zyskał uczucie poczciwej Karoliny. Zatrudnienie w aprowizacji i własny majątek pozwalały mu na uczciwą egzystencję, wiemy jak bardzo było to cenne w czasach Katarzyny II. Wkrótce poczyniono ustalenia, a po ślubie wyjechali do Kijowa, gdzie stacjonowała jednostka Miłasa. Miałem już nigdy nie ujrzeć siostry. Zmarła cztery lata⁶⁶ później rażona piorunem, pozostawiając w żalu i smutku zarówno męża, jak i wszystkich swoich przyjaciół. Za życia uszczęśliwiała wszystkich, którzy znajdowali się wokół niej, sama zaś nigdy nie zaznała całkowitego szczęścia. Spotkałem później Miłaszewicza w Petersburgu. Widząc mnie, zalał się łzami i mówił – z największym smutkiem – tylko o zmarłej. Dowiedziałem się, że ponownie się ożenił, kobieta ta jednak nie dorównywała mojej siostrze. Dwa razy nie zdobywa się głównej wygranej.

64 Czyli 100 000 złotych, jak wiemy z testamentu, Piotr Tepper dbał, by każda z córek otrzymała posag w tej samej wysokości: posag Elżbiety Schultz wyniósł 103 296 zł, AGAD, MK 291, mkf. 2198, s. 86, a wydanej za mąż w VI 1792 Anny Małgorzaty 100 000 zł; AGAD, MK 291, mkf. 2198, s. 252.

65 Sympatią Polaków cieszył się Bazyl [Wasył Iwanowicz Krasno-] Miłaszewicz (1752–1820), syn popa unickiego Joana Miłaszewicza, generał, ranny podczas walk 18 IV 1794 na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie, dwukrotny gubernator cywilny Kijowa w latach 1796–1797 i 1799–1800; por. K. Koźmian, *Pamiętniki*, Poznań 1858, t. 1, s. 248–249, 253, 258; „Miłaszewicz, Białorusin, grzeczny dobrze wychowany człowiek”, który mówił, że ma „krew polską w sobie”; popularność nazwiska nie pozwala na jednoznaczną identyfikację, np. podkomendnym Miłaszewicza był podczas insurekcji: „premier major Miłaszewicz”; por. W. Tokarz, *Insurekcja warszawska*, Lwów 1934, s. 131.

66 Por. Estreicher, *Bibliografia polska*, Kraków 1899, t. 17, s. 323; Grał M.X. *Mowa pogrzebowa przy trumnie śp. p. majorowej Rozalii Milaszewiczowej urodzonej Fergusson Tepper d. 16 lipca 1785 przez X. M[artina?] Grała*, w Warszawie w drukarni gröllowskiej; też w wersji niem.: Grahl M.X. *Leichen-Rede bei dem Sarge der T. P. Frau Majorin Rosalia von Milaszewicz geborne Fergusson Tepper gehalten am 16. Julii 1785. von Herrn M. Grahl Prediger bei der evangelischen Gemeinde in Kiow.*

Wiele nieszczęść dotknęło naszą rodzinę – można by rzec – a nie doszliśmy jeszcze do kresu opowieści i – jak zobaczymy – będzie czemu się dziwić.

Moja trzecia siostra, Elżbieta⁶⁷, odznaczała się żywością umysłu. Również jej cerę oszpeciła wietrzna ospa, nie zmieniła jednak rysów twarzy, które pozostały przyjemne, przede wszystkim dzięki urodzie oczu. Była wysoka, dobrze zbudowana i pełna wdzięku, jednym słowem – piękna kobieta. Wydano ją za mąż dopiero trzy lata po naszym wyjeździe z Warszawy za urzędnika pracującego dla mojego ojca, który nosił nazwisko Schultz⁶⁸.

Był to człowiek inteligentny, ze zmysłem do interesów, zawsze umiejący wycofać się z błędnych decyzji, ale ojciec, który wyciągnął go z cienia – słusznie sądząc, że najlepiej powierzyć interesy własnemu zięciowi, majątnemu i związanemu wdzięcznością – wybrał najmniej odpowiedniego człowieka do doglądania jego spraw. Wróć jeszcze to tej kwestii w odpowiednim czasie i zobaczymy, czy słusznie cieszyliśmy się z zawarcia tego związku.

Miałem jeszcze dwóch braci⁶⁹ i dwie siostry⁷⁰, spośród których Daniel był najstarszy. Pozostali spośród czternaściorga mojego rodzeństwa nie dożyli późniejszych lat.

Rozdział VI

Nasz dom był miejscem spotkań warszawskiej socjety, zarówno ludzi stąd, jak i obcokrajowców⁷¹. [*Stół był zawsze wspaniale i obficie zastawiony i każdy mógł do niego zasiąść, nie czekając na specjalne zaproszenie; wyszukane potrawy,

67 Elżbieta Dorota, ur. 12 VIII 1765 w Warszawie, zm. 18 VI 1850 w Krzywinie na Wołyniu, w majątku Jabłonowskich; por. *Nekrologi „Kuriera Warszawskiego” 1821–1939*, A.T. Tyszka, t. 2, Warszawa 2004, s. 264, 8178.

68 Ślub odbył się 14 X 1783, Karol Schultz (1753–1796), luteranin, bankier, znany z wielu inwestycji na rynku nieruchomości w Warszawie i okolicach, do spółki z Arndtem i Piotrem Karolem Tepperem z Fergusonów prowadził handel sukienki. Nobilitowany razem z teściem i szwagrem w 1790, określanym mianem „sprężyny ruszającej tokiem interesów bankowych”; por. W. Kornatowski, *Kryzys bankowy...*, s. 18; Karol Schultz w: *Polski Słownik Biograficzny*, t. 36/1 s. 30–31, oprac. W. Kriegseisen.

69 Daniel Fryderyk (por. wyżej przyp. 53) i Otto Walter (1779–1797).

70 Anna Małgorzata, ur. 11 VIII 1775, wydana za mąż 29 VI 1792 za Jana Chrzyciela Henryka Wołodkowicza (1762–1825), późniejszego generała armii napoleońskiej. Po rozwodzie wyszła za mąż ok. 1796 r. za Stanisława Grzegorza Worcella, byłego podstolego litewskiego i szambelana Stanisława Augusta; por. B. Limanowski, *Stanisław Worcell. Życiorys*, Kraków 1910, s. 4–10. Izabella Teresa, ur. 12 VIII 1778, wydana za mąż za [Ludwika Kajetana] Kamińskiego; por. F. Hechel, *Człowiek nauki jakim był. Pamiętniki profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego*, Kraków 1939, t. 1, s. 82; por. wzmianki o obu siostrach w: *Pamiętniki Jana Duklana Ochockiego*, wyd. J. I. Kraszewski, Wilno 1854, t. 3, s. 182, 184, 200.

71 Por. liczne wzmianki zarówno o Tepperach, jak i goszczących w ich domu dyplomatach [w:] W. Zawadzki, *Polska stanisławowska...*, t. 1, s. 143, 366–367, 381; t. 2, s. 38, 115, 137, 381, 597–600.

najlepsze wina, wytworna zastawa i porcelana dodatkowo zachęcały do odwiedzin miłośników dobrego jedła. Był to dom otwarty co się zowie, a nasze salony rzadko stały puste.] Król, który pragnął dobra mojego ojca, nie gardził organizowanymi u nas bankietami i często spędzał czas w naszej wiejskiej posiadłości. Warszawa była miastem pośredniczącym w handlu Europy Zachodniej z Rosją, do której wszyscy przybywali, aby podziwiać z bliska władczynię, która uczyniła swój wiek tak wspaniałym. Ponieważ mój ojciec był jej bankierem, odpowiadającym za wszelkie interesy z Rosją, przywożono do nas listy i często odbierano pisma do Petersburga.

Mogę więc śmiało powiedzieć, że przez naszą stolicę nie przejechała żadna znaczniejsza osoba, z którą byśmy się nie spotkali, a nasz dom był niczym ruchomy obraz, gdzie nieustannie pojawiają się nowe postaci. Przyjęcia, które u nas organizowano, przyciągały tłumy. W domu na stałe był teatr [zorganizowano go, gdy tylko objęliśmy w posiadanie nowy dom, w jednym pokoju, znajdującym się w pewnym oddaleniu i dość przestronnym], w którym kazano nam grać komedie w językach francuskim i niemieckim. [*przedstawienie kończyło się zazwyczaj baletem.] Zauważę w tym miejscu, że ćwiczenia te korzystnie na nas wpłynęły, sprawiając, że nauczyliśmy się dobrej wymowy i nadawania odpowiedniej struktury zdaniom. Miałem skłonność do tego typu rozrywek, toteż kilkakrotnie grałem w przedstawieniach dla towarzystwa, i bywało że odnosiłem sukcesy.

Przyjęcie, które ojciec wyprawił z okazji ślubu mojej starszej siostry, było z pewnością najbardziej wystawne, jakie kiedykolwiek zorganizowała osoba prywatna. Nie wchodząc w szczegóły, powiem tylko, że schody naszego domu⁷², które nawiasem mówiąc, są jednymi z najpiękniejszych w Europie, całe zostały przystrojone girlandami ze świeżych kwiatów – zauważmy, że ślub odbył się w styczniu. Było ponad 300 gości, a starczyło miejsca, by kolację wszyscy zjedli przy stole.

Pierwsze piętro przeznaczono na tańce, na drugim nakryto stoły. Król obiecał zaszczycić swą obecnością nasze przyjęcie, jednak nieszczęśliwy wypadek, który przydarzył się księciu Czartoryskiemu⁷³ – kuzynowi władcy – pozbawił nas tego honoru. Starsza córka księcia⁷⁴ zmarła tego samego dnia⁷⁵ w wyniku poparzeń spowodowanych zapaleniem się jej szat od ognia z kominka.

72 Pałac Teppera na Miodowej (ob. nieistniejący; ruiny pałacu rozebrano w związku z budową tunelu trasy WZ) został zbudowany wg projektu E. Schroegera w 1774 r.; por. S. Lorentz, *Efraim Szreger, architekt polski XVIII wieku*, Warszawa 1986, s. 189–198; ponadto por. wzmiankę o pałacu zawierającą informację o dwóch fundatorach pałacu, Tepperze starszym i młodszym na <http://www.biblioteka.warszawa1939.pl/> – dostęp 10 IX 2012.

73 W oryginale pisownia nazwiska: Czartorynski.

74 Teresa Czartoryska (1765–1780), córka Adama Kazimierza. Relację z tragicznych okoliczności śmierci ukochanej starszej siostry zamieścił jej brat w pamiętnikach; por. A.J. Czartoryski, *Pamiętniki i memorjały polityczne 1776–1809*, Warszawa 1986, s. 82–83. Opisał je również J.U. Niemcewicz, *Pamiętniki czasów moich*, Warszawa 1957, s. 126.

75 Czwartek, 13 I.

Ojciec pewnego dnia zorganizował na wsi⁷⁶ przyjęcie dla króla. Wspominam o nim tutaj z powodu pewnej wzruszającej sceny, której byłem wtedy świadkiem. Wszyscy nasi chłopci, ubrani w najlepsze stroje, zostali wystani na powitanie króla do granic posiadłości i eskortowali go aż do dworu, otaczając powóz, którym jechał. Młodzi mężczyźni i kobiety śpiewali, a śpiewy przerywały okrzyki na wiwat i wystrzały z dział. Przed obiadem dano jeść wieśniakom, król spróbował ich jadła, rozmawiał z nimi i wydawał się oczarowany ich wesołością i szczęściem. Później poszliśmy do lasu, gdzie mieliśmy polować na zające i sarny, jednak polowanie zastąpił połów ryb siecią, a następnie schroniliśmy się w namiocie ozdobionym kłosami i kwiatami polnymi i tam podano do stołu. Wokół namiotu zasadzono zagajnik, skąd na zmianę dochodziły śpiewy i muzyka wykonywana na instrumentach dętych. Po obiedzie młodzi wieśniacy trenowali zręczność na słupie szczęścia. Na szczycie słupa umieszczono sakiewkę ze 100 florenami (około 15 rublami z białego złota) i butelkę wina. Nagrodę zdobył piętnastoletni chłopiec, a jego ojciec tak się ucieszył ze zwycięstwa syna, że podbiegł do króla i rzucił mu się do stóp, mówiąc: „To ty panie przyniosłeś szczęście mojej rodzinie: składam dzięki Bogu, który – na stare lata – pozwolił mi ujrzeć twarz dobrego Stanisława Augusta”. Słowom starca towarzyszyły niekończące się wiwaty i okrzyki „hura!”. Król długo z nim rozmawiał i dał mu dukata, którego mężczyzna przyjął z tymi słowami: „Ta moneta nie opuści moich rąk. Zachowam ją tak długo, jak długo trwać będzie moja rodzina, będziemy pamiętać dzień, w którym król ze mną rozmawiał”. Przyjęcie – na prośbę króla – zakończyły zabawy i tańce, władca rzekł bowiem, że będąc na wsi, lubi przyglądać się wiejskim rozrywkom.

Niezwykłym szczegółem, na który warto tu zwrócić uwagę, jest fakt, że król tego dnia miał na sobie ten sam strój, ten sam kapelusz i tę samą szablę⁷⁷, co w dniu porwania 3 listopada 1771 roku. Wiem, że król zachował ten ubiór i że kilkakrotnie go wkładał, nie potrafię jednak wytłumaczyć, z jakiego powodu założył go na tę okazję.

Po tym wszystkim, co opowiedziałem, nie dziwi, że od dzieciństwa kiełkowało w nas ziarno próżności i miłości własnej, a wszystko sprzysięgło się, żeby cechy te w nas podsycać, i trzeba mi wybaczyć ich ślady, które we mnie się zachowały. Ludzie często bardzo surowo mnie oceniali. Kilkakrotnie nawet zawstydzano i sprawiono,

76 Por. A. Naruszewicz, *Dyaryusz podróży [...] Stanisława Augusta króla polskiego na Ukrainę i bytności w Krakowie aż do powrotu do Warszawy dnia 22 lipca roku 1787*, s. 303–307; http://www.pbi.edu.pl/book_reader.php?p=42657 – dostęp 22 II 2013. Opis odwiedzin króla w Falentach 21–22 lipca 1787, w drodze powrotnej ze spotkania z Katarzyną II w Kaniowie różni się od relacji Ludwika Wilhelma; może dotyczył bytności poprzedzającej wzniesienie pałacu, gdyż biesiadnicy spożywali posiłek w namiotach, a nie w pałacu, jak pisał Naruszewicz. A. Magier, *Estetyka miasta...*, s. 137, podał, że król gościł u Teppera w 1786 r. w dniu jego imienin. Z tej okazji zamówiono srebra stołowe „wyrabiane w same kłosy”.

77 Koszula, w którą król był ubrany podczas porwania, zachowała się w kolekcji ks. Czartoryskich i była m.in. prezentowana na wystawie w Zamku Królewskim w Warszawie: *Stanisław August, ostatni król Polski, polityk, mecenas, reformator 1764–1795* w dniach 27 XI 2011 – 19 II 2012.

że straciłem wiarę w siebie z powodu doświadczonego odtrącenia. Być może mieli po temu powody, gdyby jednak znali historię moich młodzieńczych lat, gdyby wiedzieli, jak wszystko współdziałało, aby mnie zepsuć, mieliby więcej pobłażania i przekonaliby się, że wady te bardziej dotyczyły moich przyzwyczajzeń niż mnie samego.

Mogę zapewnić, że nikt nie zna lepiej moich przywar i słabości niż ja sam oraz że wraz z wiekiem, kiedy zacząłem być ich świadomy, nieustannie starałem się badać i poprawiać swoje zachowanie, aby było zgodne z zasadami życia społecznego. Nikt nie oceniałby mnie tak ostro, gdyby wiedział, jak szczerze żałuję każdego razu, kiedy zdarzyło mi się zrobić lub powiedzieć coś, co było sprzeczne z owymi zasadami, z pewnością miałby nade mną litość. Często też odczuwałem wyrzuty sumienia, kiedy nie było to potrzebne, gdyż zachowywałem się jak należy, do tego stopnia byłem dla siebie surowy.

Moje wychowanie – od początku do końca – było splotem sprzeczności. Moi rodzice nie dali mi poznać żadnej z mych wad, później, gdy zajęli się mną obcy, przesadnie mi je wytykano, wmawiano mi nawet przywary, których nie miałem, a chcąc się ich pozbyć, nabywałem nowych. Oto skutki wychowania! Dobre wywierają trwający całe życie zbawienny wpływ, zgodnie z charakterem, którym obdarzyła nas natura. Natomiast złe lub choćby pozbawione planu, cechujące się brakiem konsekwencji, może doprowadzić do wykolejenia, ponieważ raz wpojone pozwała oddziaływać okolicznościom. Kiedy zaś z natury jesteśmy dobrzy i kiedy mamy świadomość dobrego i złego, zmienne okoliczności mogą mieć dobry wpływ, jednak człowiek, który pozwoli się zdominować własnym namiętnościami, w obliczu odwrócenia się szczęścia jest skończony. Taka jest właśnie, w dużej mierze, historia i źródło wszelkich zbrodni. Nigdy nie odznaczałem się wielkim umysłem, ale miałem dobre serce, nie dotknęła mnie żadna silna namiętność i miałem wystarczająco dużo rozsądku, żeby skorzystać z lekcji, którą dała mi szkoła życia. Zawsze zresztą poszukiwałem i kochałem ludzi dobrych, co sprawiło, że nie jestem zepsuty. Taki, jaki jestem – mogę to powiedzieć – stałem się dzięki własnej pracy. Jeśli nie udało mi się całkowicie osiągnąć zamierzonego celu, to być może dlatego, że miałem zbyt wiele do zrobienia, aby osiągnąć całkowity sukces. Moja powierzuchowność była mi często w tym przeszkodą, poza tym niepowodzenia położyły się na moim charakterze cieniem smutku i zobojętnienia, z którymi harmonizowała moja skłonność do melancholii. Cecha ta, nie pozwalając mi zyskać w oczach innych, często dodawała goryczy samotnie spędzanym przeze mnie godzinom i doprowadziła do tego, że uciekłem od społeczeństwa, dla którego zupełnie się nie liczyłem. Czas jednak powrócić do mojej historii.

Rozdział VII

Uczestniczyłem w wiejskiej zabawie, którą mój ojciec wyprawił dla króla, a słowa „król” i „wiesz” przypominają mi wydarzenie, którego nie chcę zapomnieć, ponieważ dotyczy mojej krótkotrwałej znajomości z największym człowiekiem ubiegłego wieku. Ojciec chciał kupić ziemię⁷⁸ znajdującą się na terytorium Prus polskich, napisał więc do Fryderyka II, aby złożyć mu hołd i prosić o zezwolenie na ten zakup. Król przesłał mu skrzynię zawierającą jego portret i własnoręcznie napisany list. Obraz był słaby, ale przedstawiał wielkiego Fryderyka i wielka to szkoda, że przedmioty te zaginęły.

Objęcie stanowiska bankiera na dworze cesarzowej Katarzyny spowodowało, że ojciec nawiązał stałe stosunki z Rosją. Posada ta przyniosła mu tytuł barona, który Jej Wysokość przyznała mu w tym samym czasie, co baronowi Fridriksowi⁷⁹. Ojciec jednak nigdy tytułu tego nie używał, ponieważ, mieszkając w Polsce, nie sądził, aby było stosowne obnosić się z zagranicznym szlacheństwem. Ostrożność ta była tym bardziej konieczna, że ściągnęłoby to na niego podejrzenie sprzyjania stronnictwu prorosyjskiemu. Nie przewidział jednak – podobnie jak ja – że jeden z jego synów pewnego dnia pojedzie do Rosji w poszukiwaniu szczęścia, w czym tytuł ten mógłby mu być niezwykle pomocny.

Stanowisku bankiera cesarzowej ojciec zawdzięczał – mogę to stwierdzić – zażyłość z ambasadorem, hrabią Stackelbergiem⁸⁰. Pan ten był jego szczerym przyjacielem, czemu dawał wyraz przy każdej sposobności. Przez 12 lat⁸¹ – jak mi się wydaje – zamieszkiwał należącą do mojej rodziny rezydencję i zorganizował tam dwa wystawne przyjęcia. Pierwsze z okazji narodzin Jego Cesarskiej Mości Aleksandra, drugie dla uczczenia podpisania pokoju w Kajnardży⁸².

78 *Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich*, Warszawa 1880–1914, t. 10, s. 528.

79 Iwan Juriewicz Frederyks [Freederiksz] (1743–1779), nadworny bankier Katarzyny II, otrzymał tytuł barona 5 VIII 1773, czyli w tym samym roku przypadł on w udziale Piotrowi Tepperowi z Fergusonów.

80 Otto Magnus Stackelberg (1736–1800), rosyjski ambasador w Warszawie w latach 1772–1790; ojciec chrzestny Ottona Waltera Fergusona-Teppera; por. J. Michalski, *Dyplomacja polska...*, s. 604–606.

81 Mieszkał w latach 1775–1788 w Pałacu pod Czterema Wiatrami; por. M. Kwiatkowska, M. Kwiatkowski, *Pałac pod Czterema Wiatrami*, Warszawa 1984, s. 40.

82 Traktat pokojowy Rosji z Turcją w Kuczuk-Kajnardży został podpisany 22 VII 1774, Aleksander I urodził się 23 XII 1777.

Doskonale przypominam sobie to ostatnie przyjęcie, na które ubraliśmy się w stroje hiszpańskie. Ambasador bardzo często u nas bywał i nawet zwyczajem stało się, że jadł u nas kolację noworoczną, z której nigdy nie rezygnował. Kiedy przypomniemy sobie rolę, jaką hrabia Stackelberg odegrał w Warszawie i której prawdopodobnie żaden inny ambasador nie odgrywał ani nie odegra w przyszłości w żadnym innym miejscu, będziemy mogli właściwie ocenić szczególną atencję, jaką nas darzył i jakiej nie miał dla zbyt wielu osób. Tego wyjątkowego człowieka często oceniano w krzywdzący dlań sposób, widziano w nim jedynie osobę publiczną, nie doceniając jego szczególnych przymiotów. Jako przedstawiciel mocarstwa, które nas uciskało, musiał być negatywnie postrzegany, wystarczyłoby jednak porównać go z jego poprzednikami, aby zobaczyć, że choć był wykonawcą krzywdzących rozkazów, może zasługiwać na szacunek. Podczas osiemnastoletniego okresu przebywania na placówce w Warszawie hrabia Stackelberg nigdy nie przyczynił się do nieszczęścia konkretnej osoby. Przeciwnie, starał się zapobiegać krzywdom za każdym razem, kiedy mógł to zrobić, nie kompromitując własnej osoby, i tylko w najważniejszych sprawach wagi państwowej występował jako ambasador. Pamiętamy hrabiego Salderna⁸³ i księcia Repina⁸⁴, których niedługie rządy doprowadziły do wygnania tysięcy osób. Oskarżano Stackelberga o sprzedaż urzędów, zarzuty te być może nie są bezpodstawne, wina jednak nie leżała po jego stronie. Nie powinno dziwić, że rosyjski ambasador starał się obsadzić stanowiska własnymi ludźmi.

Otrzymywał pewne sumy na opłacenie stronników – wszyscy to wiedzą – było to konieczne działanie, które mu nakazano, i jeśli można na coś narzekać, to raczej na to, iż z taką łatwością zdołał znaleźć chętnych do przyjęcia pieniędzy.

Trzeba przyznać, że za jego czasów doszło do ogromnych nadużyć przy rozdzielaniu urzędów – mówi się, że sprzedawano je tym, którzy najwięcej mogli za nie zapłacić – i to może być zgodne z prawdą, nie ambasador jednak wyciągał z tego korzyści. Odpowiedzialność za te praktyki spada na dwie lub trzy inne osoby, a zwłaszcza jedną, którą dobrze znam. Same za siebie mówią szybkie fortuny, do których doszły te persony i które nie odpowiadają wynagrodzeniu sekretarza ambasady. Hrabia natomiast był zbyt dobrze opłacany i miał zbyt szlachetną duszą, by dopuszczać się tego typu praktyk. Wiadomo zresztą, że Stack, który sam nie wzbogacił się w Warszawie, utrudniał prowadzenie interesów w tym mieście. Ponadto, choć można mu zarzucać, że godził się na nadużycia, sędzę, iż o dużej ich części nie wiedział.

83 Kasper von Saldern (1711–1788), rosyjski ambasador w Polsce w latach 1771–1772, poprzednik O. M. Stackelberga.

84 Mikołaj Wasiliewicz Reprin [Repin] (1734–1801), rosyjski ambasador w Polsce w latach 1764–1768. W 1767 r. na jego rozkaz zostali aresztowani i zesłani do Kaługi przywódcy konfederacji radomskiej: biskup krakowski Kajetan Sołtyk, biskup kijowski Józef Andrzej Załuski, hetman polny koronny Wacław Rzewuski.

Można zastanawiać się zresztą, czy stanowisko sekretarza ambasady w Warszawie nie było wyrazem łaski dla osób, którym chciano umożliwić zbiecie fortuny. Zarzucano mu pychę. Prawdą jest, że publicznie okazywał wiele dumy, zwłaszcza wobec tych, którzy byli do niego wiernopoddańczo przywiązani, odczuwał bowiem wobec nich pogardę. Bardzo dobrze potrafił jednak rozpoznać ludzi godnych szacunku i pokazywał im się z zupełnie innej strony, niestety byli oni dość nieliczni.

Po powrocie z zagranicy⁸⁵ wielokrotnie widywałem ambasadora i mogę stwierdzić, że nigdy nie spotkałem uprzejmniejszego człowieka. Zawsze zachowywał się z godnością, ale nigdy z arogancją, odznaczał się grzecznością, którą powinni cechować się wielcy tego świata, taką, która sprawia, że wszyscy dobrze się czują, nie zapominając swego miejsca, a rozmowa z nim była prawdziwie urzekająca. To prawda, nie należało zapominać, że był ambasadorem wielkiej Katarzyny. Ponieważ odnosił liczne sukcesy u kobiet, często zdarzało się, że chciały one obnosić się zażyłością z nim, wówczas potrafił osadzić je na miejscu w nieco szorstki sposób. Pewna dama, której okazywał swe względy, a której mąż był jednym z otaczających go pochlebców, widząc hrabiego siedzącego przy stoliku do gry, poklepała go po ramieniu, mówiąc: „dobry wieczór, ambasadorze”. Wówczas hrabia odwrócił się i rzekł: „madame, wolno pani przybierać ten ton, gdy rano przychodzę do pani w szlafroku”. Kobieta ta rzeczywiście nie należała do najwyższych sfer i nie zasługiwała na inne traktowanie.

W 1789 roku, na świętej Katarzyny, sam byłem świadkiem zbyt jawnego braku szacunku, na jaki hrabia pozwolił sobie wobec króla. Zdarzenie to uświadomiło mi, jak niewielki respekt wzbudzał ten władca. Ambasador wyprawił uroczystą kolację, a po uczcie liczni przedstawiciele dworu przyszli, aby złożyć mu gratulacje.

Stack siedział przy stoliku do gry, kiedy wszedł król. Wszyscy natychmiast wstali, ambasador jednak nie ruszył się z krzesła i jedynie skinieniem głowy pozdrowił króla. Po cóż jednak król składał wizytę ambasadorowi? Pewne jest jednak, i Polacy przekonali się o tym po wyjeździe hrabiego, że nigdy nie był ich wrogiem. Spotkałem się później ze Stackiem w Petersburgu, mówił o nieszczęściach Polski w sposób, który wskazywał na szczerą troskę: „kocham ten kraj, mieszkałem tam 18 lat i był to najszczęśliwszy okres w moim życiu. Chciałem dla nich dobrze i przepowiadałem nieszczęście, które sami sobie zgotowali. Zrobiłem wszystko, co było w mojej mocy, aby powstrzymać ich upadek w przepaść, którą własnoręcznie sobie przygotowali,

85 Autor wrócił do Warszawy przez Wiedeń i Kraków (odwiedzwszy Wielickę i Wawel) w VIII 1789, po zakończeniu studiów prawniczych w Strasburgu i odbyciu krótkiej podróży do Paryża.

nie docenili jednak moich prób. Mam nadzieję, że oddadzą mi sprawiedliwość, przyznając, iż nie mam na sumieniu łez żadnej rodziny”.

Synowie hrabiego Stacka⁸⁶ byli mniej więcej w naszym wieku. To wkrótce doprowadziło do powstania bliskiej zażyłości między nami, która ustała dopiero po naszym wyjeździe. Przez wiele lat niemal każdego dnia się spotykaliśmy albo u nich, albo – częściej – u nas. Bawili się z nami, a nawet uczestniczyli w niektórych naszych lekcjach. Młody książę – Adam Czartorński⁸⁷, ten sam, który później został rosyjskim ministrem spraw zagranicznych – również nas odwiedzał. Oto osoby, które były naszymi przyjaciółmi w okresie dzieciństwa. Obcy dyplomaci odwiedzali każdy z naszych domów. Monsieur de Benoit⁸⁸ – pruski minister, później minister-rezydent Blanchot⁸⁹, [*człowiek wielkiej inteligencji, lecz słabego zdrowia. Lekarze zalecili mu szczególną dietę i pamiętam jeszcze, że gdy gościł u nas na kolacji, a zdarzało się to co najmniej 4 do 5 razy w ciągu tygodnia, podawano mu wielką miskę mleka, w której moczył chleb i owoce. Zmarł, a jego następcą został pan d’Axt.], a następnie monsieur de Buchholtz⁹⁰. Austriaccy ministrowie – baron Rewitz⁹¹, a później baron Thugout⁹² – mieszkali w jednym z apartamentów w naszym domu⁹³.

Oprócz nich bywał u nas też dobry i poczciwy Duachet⁹⁴, członek poselstwa, którego wszyscy kochaliśmy i który zawsze dawał nam dowody najszczerzej przyjaźni.

86 Otto Johann von Stackelberg (1764–1814), wojskowy; Gustaw Ernest von Stackelberg (1766–1850), dyplomata i uczestnik kongresu wiedeńskiego, doradzał Aleksandrowi I w kwestiach dotyczących włączenia Księstwa Warszawskiego do Rosji. Obaj kształcili się podobnie jak autor pamiętnika w Strasburgu. Por. *Genealogia rodu* – http://www.eha.ee/fondiloend/frames/fond_prop.php?id=3043.

87 Książę Adam Jerzy Czartoryski (1770–1861) nie wspominał w swych pamiętnikach o odwiedzinach u Tepperów.

88 Gédéon Benoit, sekretarz poselstwa pruskiego w Warszawie w latach 1748–1763, ambasador pełnomocny w latach 1763–1776, reprezentował Prusy przy podpisywaniu traktatu rozbiorowego, który przygotował we współpracy z Stackelbergiem.

89 Friedrich Blanchot, ambasador Prus w Polsce w latach 1776–1779, wg J. Bernoulli był człowiekiem „o żywym, wnikliwym umyśle, bardzo ujmującym i miłym obcowaniu”; por. *Polska stanisławowska...*, t. 1, s. 386.

90 Ludwig Heinrich von Buchholz (1740–1811), pruski dyplomata, rezydent w Warszawie w latach 1780–1787, następnie pełnomocny minister Prus w latach 1777–1789 i 1792–1794.

91 Karl Emerich Alexander von Revitzky [Reviczky] (1737–1793), ambasador Austrii w Polsce w latach 70. Uczestnik pertraktacji w sprawie I rozbioru Polski, wraz z G. Benoît i O. Stackelbergiem. Odwołany z Warszawy w początkach XI 1779, bardziej znany jako podróżnik, poliglota, tłumacz, bibliofil. Ojciec chrzestny Izabeli Teresy; por. J. Michalski, *Dyplomacja polska...*, s. 577, 578, 606.

92 Johann Amadeus Franz de Paula, baron Thugut (1736–1818), ambasador Austrii w Polsce od VIII 1780 do 1783 r. W latach 1793–1800 kanclerz i minister spraw zagranicznych Austrii, którą reprezentował w negocjacjach prowadzonych w związku z III rozbiorem Polski.

93 W Pałacu Teppera przy ulicy Miodowej.

94 Benedykt de Caché (ok. 1740 – po 1808), austriacki dyplomata w Warszawie od 1782 r., w VII 1794 zrzekł się pełnomocnictw i opuścił Polskę. Powrócił do Warszawy w 1808 r. Identyfikacja osoby za O. Baird.

A także Ich Eminencje Garampi⁹⁵ i Archetti⁹⁶, legaci Stolicy Apostolskiej (obecnie kardynałowie). Szczególnie dobrze pamiętam tego pierwszego, który przychodził grać w szachy z ojcem. Pewnego dnia zapytałem go, z jakiego powodu nosi się tak ekstrawagancko, zakładając fioletowe pończochy do czarnych spodni. [*Pierwszy wyróżniał się inteligencją i rozległą wiedzą, jak też dobrymi manierami. Żadna z nuncjatur, o ile wiem, nie była bardziej lukratywna dla tych, którzy ją pełnili, od tej znajdującej się w Polsce. Dwór rzymski i jej agenci robili dobry interes na licznych rozwiązaniach małżeństw, z których powstawały najbardziej skandaliczne akty, uzyskiwane zawsze na drodze finansowej. Słowo „rozwód” nigdy nie było wypowiedziane, ale znajdowało się zawsze w akcie małżeńskim ze względu na fakt stwierdzenia jego nieważności. Nuncjusz Garampi lubił bardzo szachy i zawsze grał jedną lub dwie partyjki z każdym, kto znał tę grę. Przychodził do nas zazwyczaj z posłem pełnomocnym Francji Giraud⁹⁷. Był to wysoki, chudy mężczyzna (...) nosił upudrowaną perukę, frak obszyty galonami, z szerokimi połami, koronkowy żabot, włosy miał schowane w siatce, płaski kapeluszy (trzymany pod pachą), szpadę ze srebrną rękojeścią i laskę ze złotą rączką, co było strojem typowym dla Francuzów tej doby. Jego wysoki wzrost znakomicie kontrastował ze wzrostem jego żony i córki, które miały zaledwie cztery stopy wysokości, ale których strój, podobnie jak jego własny, był doskonałym obrazem stylu ubioru obowiązującego na dworze Ludwika XVI. Suknia rogówka, krótkie rękawy ozdobione wielkimi falbanami, odkryty dekolt, tupecik na wysokość przynajmniej czterech cali⁹⁸ zwieńczony czymś w rodzaju kornetu ozdobionego piórami i kwiatami; twarz umalowana i przyozdobiona dwoma muszkami; ogromny wachlarz zawieszony na ramieniu na wstążce, dół sukni przyozdobiony plisowanym obszyciem, którego niemal wystarczyłoby na uszycie całej sukni.] Przychodzili do nas w odwiedziny lord Dalrymple⁹⁹ – minister Wielkiej Brytanii i monsieur de Bertuch¹⁰⁰ – minister Danii, z wizyt tych zapamiętałem jednak tylko nieliczne wydarzenia.

95 Giuseppe Garampi (1725–1792), nuncjusz papieski w Warszawie w latach 1772–1776, ceniony ze względu na erudycję i nieposzlakowaną opinię. Spuścizna z okresu jego nuncjatury w Polsce znajduje się w Archiwum Watykańskim; por. M. Loret, *Dwaj nuncjusze w Warszawie za Stanisława Augusta, Garampi i Archetti (1772–1784)*, Biblioteka Warszawska, 1905, t. 4, s. 50–56.

96 Giovanni Archetti (1731–1805), nuncjusz papieski w Warszawie w latach 1776–1784, por. M. Loret, j.w. s. 56.

97 Jean Claude Gérard, półoficjalny agent Francji przebywający w Warszawie w latach 1766–1785; por. J. Michalski, *Dyplomacja polska...*, s. 554 i 609.

98 Wartość metryczna cala francuskiego wynosiła ok. 27,069 mm, co odpowiadało wymiarowi kciuka Ludwika XVI.

99 John Dalrymple (1749–1821), minister pełnomocny w Warszawie w latach 1782–1784.

100 Ernst Albrecht von Bertouch (1745–1815), rezydent duński w Warszawie w latach 1777–1780. Ojciec chrzestny Izabeli Teresy.

Jedną z osób, którą najbardziej kochałem w dzieciństwie i która nieustannie okazywała nam szczerą przyjaźń, był baron von Asch¹⁰¹, minister rezydent Rosji. Jego starszy syn¹⁰² (obecnie gubernator Smoleńska) też należał do tego grona.

Naszym gościem bywał również sędzia de Sacramosa¹⁰³, posiadacz wielkiego krzyża maltańskiego i wielki mistrz zakonu maltańskiego w Polsce. To on przyznał krzyż maltański mojemu ojcu wraz z tytułem skarbnika zakonu¹⁰⁴. Miał zwyczaj wybierać się na przechadzkę o piątej rano, podczas gdy wszyscy w domu jeszcze spali, a następnie wstępował do nas na filiżankę herbaty na wodzie. Domownicy tak się do tego przyzwyczaili, że kiedy przychodził, herbata była już gotowa.

Poza tym każdy przybysz z zagranicy (artyści, dyplomaci i inni obcokrajowcy) miał ze sobą listy polecające do naszego domu. W ten sposób poznaliśmy wiele osób cieszących się lepszą lub gorszą opinią, między innymi słynnego szarlatana Cagliostro¹⁰⁵. Przypominam sobie nawet, że w dzieciństwie widziałem pewnego Anglika (zapomniałem jego imienia), który odbywał pieszą podróż po Europie.

Koniec pierwszej księgi

Tłumaczenie Jakub Jedliński

Opracowała Barbara Hensel-Moszczyńska

101 Iwan Fiodorowicz von Asch (1726–1807), baron, sekretarz ambasadora rosyjskiego Hermana Keyserlingka (1696–1764), następnie rezydent rosyjski w Warszawie w latach 1766–1793, internowany podczas insurekcji kościuszkowskiej; po uwolnieniu pozostał do 1795 r. w Warszawie jako minister pełnomocny rządu rosyjskiego.

102 Kazimierz Iwanowicz von Asch był gubernatorem Smoleńska w latach 1807–1822 – <http://worldleadersindex.org/EuropeRegions/RussianImperialGovernates.html>.

103 Markiz Michele Enrico di Sagramoso (1720–1790), włoski dyplomata, przedstawiciel zakonu maltańskiego w Polsce w latach 1773–1776; por. J. Baranowski i inni, *Zakon Maltański w Polsce*, Warszawa 2000, s. 146.

104 Piotr Tepper z Fergusonów, Donat Orderu Maltańskiego, otrzymał nominację na skarbnika Przeoratu Polskiego 3 VIII 1776, sprawował funkcję do 1792 r., formalnie w zakonie był od 1789 r. jako Kawaler Honoru i Dewocji; por. J. Baranowski i inni, j.w., s. 142, 147, 237.

105 Giuseppe Balsamo, hrabia Aleksander Cagliostro (1743–1795) przebywał w Warszawie w V i VI 1780.